



## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie r. s. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie zaś za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

**Treść Numeru.** Pogadanka.— Korespondencja z Wiednia.—Kartka ze spostrzeżeń fizjologicznych nad artystami i pisarzami ułożona przez Edwarda Lubowskiego.— Korespondencja ze Lwowa.—O Rosji.—Pamiętnik Waławy przez Elżbę Orzeszkową.— Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

### Pogadanka.

Na wstępie roku bieżącego zarzuconym życzeniami, które jak race i bomby z ust do ust przebiegały, spotkała mnie piśmienna bura, która choć z pod kobiecej wypłynęła rączki, niezwykle jednak podrażniła. Zarzucono mi rzecz drobną, zwyczajną, jakiej hołdują podobno wszyscy, zarówno młode jak starsze pokolenie, zarówno ubodzy jak bogaci począwszy od bluzki dziecięcej i ręki stwardniałej w pracy, aż do łysiny omszałej wiekiem i paznogi szponowatych rozmiarów. Zarzuty jak jedwabna nitka zręcznej hafciarki zwiły się często w nadobnych esach i floresach, czasem pochlebiali lub połajali, niekiedy tonęły w dyplomatycznej matni, ale w tych osłonkach powiewnych popieranych to wykrzyknikiem, to znakiem zapytania, wszędzie wytykał straszny wyraz... próżniactwo!

Zawieszenie chwilowe pogadanek, bury tej głównym stało się powodem, a szanowna Korespondentka pragnąc, według jej mniemania, przebudzić rozleniwiałego ducha, w zakończeniu gorzkim obdarzyła mnie wyrzutem: wstydy się Janku z Bielca być tak lekliwym i zrażającym się.

Zaprawdę, zarzut to nie małej wagi. Gdybym należał do zacnego grona prelegentów Lwowskich, umilkłych na głos *jednej ze słuchaczek*, jak o tem korespondent nasz ze Lwowa donosi, możebym zarumienił się i spuścił oczy ze wstydu. Ale lekliwość rzecz to niemiezka, szanowni prelegenci zrazili się, ale Janek z Bielca tak prędko bronii nie składa. Dalej więc na bruk warszawskiego życia!

Warszawa obecnie wstępuje nieśmiało w wir karnewałowego szatu. Zbierając polityczne nowinki, oblicza starannie koszta pocisków dosięgających już środka Paryża, i widząc ztąd tworzące się miljarde dla dymu, huk i ruiny, pokręca głową ze znaczeniem powiadając bardzo słusznie, że wszystkie krzyki moralistów na jej zbytki i wybryki złotej młodzieży, są potwarzą najczystsza a nawet obelgą. Poprawiona z musu w tej obmowie już tylko daleki echem jej dochodzącej. przygląda się z powagą anatomicznemu muzeum Präuschera, straszącego ciągle krótkim swym pobytom: podziwia lwy i tygrysy w menażerji Kreuzberga, których braci zjadł Paryż na zakąskę śniadaniową, korzysta z wybornej sanny jaką nas sroga zima ciągle darzyć nie przestaje: przyśluhuje się w dniu świąteczne orkiestrom Lewandowskiego lub Sonnenfelda: sale maskaradowe zaczyna napełniać tysiącami ciekawych, przypatrzenia się ar-

lekinom niedowcipnym, krakowiakom nie zawsze zdarnym, a dominom zawsze jak mur milczącym. Za to teatr na pustki skarżyć się nie może, zwłaszcza gdy afisz nową sztukę zapowie. Gdyby jeszcze wybór robiono zgodnie z wymaganiami sceny.... Ostatnią nowością jaką nas obdarzono, była komedia w czterech aktach J. Sanda tłumaczona z francuzkiego p. t. Margrabia de Villemer. Sprawozdawcy pism codziennych w długich wywodach starali się dowieść całą jej wartość artystyczną. Anatomizowali uczucia, zręczność dykcji, subtelność budowy, bujność wyobraźni, kompozytę podnosili pod niebiosa słowem nie szczędzili słów aby dowieść, że umieją ocenić to jak należy, na czem się inni nie znają. Wszystko to może być prawdą, cóż z tego, kiedy słuchając tego areydziała, mimowoli pragnie się poduszki i marzy o rozkosznych śnie nieraz żywszym darzącego obrazem. Jest to ekliwno-nudna gawęda z życia zrujnowanych panów, umiejących tylko hulać, próżniaczyć, marzyć i drobnostki podnosić do znaczenia kwestji społecznych, gawęda przeplatana to śmiechem, to płaczem, to omdleniem, to patetycznością, ale komedji w tem trudno się dopatrzeć a tymbardziej prawdziwej dramatyczności. Wynudziłem się też i wyziewałem za wszystkie czasy, oczy mgliły się, uszy nurzyły, uwaga bujała po dalekich światach, a usta wyprawiły tak ziewając gimnastyczne harce, że aż lękałem się aby który z sąsiadów nie potracił mnie łokciem z obawy abym nie chrapnął. Gdyby nie długie przestanki między aktowe, dozwalające z wszelką wygodą trzeźwienia się bufetowemi libacjami, sen ogłosiłby nowych braci śpiących, zwerbowanych nie tylko między słuchaczami ale i artystami. Przewiedziano, to i dlatego zapewne po każdym akcie zostawiono prawie po trzy kwadransy na rozczmychanie i otrzeźwienie. Doza lekarstwa cokolwiek przesadzona, dwie godzin to zawiele na przyglądanie się lożom i galerji i mierzenie długości bufetowej sali. Tegoroczna zima trzymająca Wisłę w lodowym uścisku, dla skrętnych przedsiębiorców dała źródło nieznanego dotąd zarobku. Łyżwiarzy nie brak Warszawie zarówno w salonie jak i na Wisle ścieżki twarzym lodem. Są i językowi łyżwiarze kozła umiejący przemienić w barana, z komara zrobić słonia a z czarnego białe niby śnieg chrupoczący pod nogami, ale tą razą innych łyżwiarzy mam na myśli, rzeczywistych, szukających w rześkiej rozrywce prawdziwie męskiej zabawy. Wprawdzie w szalonym biegu, na wążutkich ostrzach łyżwy o guza nietrudno, gdzież się jednak z nim spotkać nie można? Po guzach łyżwiarskich pozostają tylko sińce prędko znikające, po zebranych w drodze życia są wytrwalszej natury, cza-

sami czepiają się pamięci z uporczywością, niczem nie pokonana.

Otóż dla rzeczywistych łyżwiarzy, na Wisłę urządzone zostały aż dwie areny, z karuzelami, fotelami, saneczkami dla dam, ze śnieżnymi górami dla odważniejszych miłośników ślizgawkowej rozrywki, a nawet z kuchnią, bufetem, zasobem trunkowym i podobno ze świetną illuminacją, jeżeli ochotników zbierać się będzie odpowiednia liczba. Opłata dwudziestu groszy za wejście nie bardzo droga, jeżeli zwązimy łatwość skręcenia karku tak przez zimę jak łyżwiarzy, ale młodzież w Warszawie lubiąca łyżwiarskie turnieje, w ogólnej swej masie nie zaleca się zbyt obfitemi zasobami brzęczącej mamony. Nie dla jednego dwie dziesiątki to skopuł trudny do przebycia, jak trudną jest do rozwiązania kwestja tutejszego żebractwa.

Pisano o niem już bardzo wiele, dawano bardzo praktyczne rady, wszystko jednak skończyło się na dobrych chęciach i dziś idąc, jadąc lub stojąc chwilowo, wszędzie ujrzyś żebraka, ścigającego cię jak duch Banka, jękiem i wyciągniętą ręką. Nieszczęściu nie przeczę że należy poszanowanie, niedoli pomoc a upadającemu ratunek, ale tylko nieszczęściu i niedoli, nie spekulacji wyzyskującej litość i miłosierdzie. Zgraja żebracza po większej części z takich się składa i gdy prawdziwa nędza w ciszy i poddaniu się znosi wszystkie męki braku, kłamana z krzykiem domaga się datku.

W urządzonych w roku zeszłym ogrzanych sypialniach, czy sądzicie że najwięcej żebractwa przebywało? — przeciwnie, żebracy stanowili wyjątek, a gromadziła się w nich prawdziwa bieda, z jaką Warszawa na ulicach nigdy się nie spotyka. Zamierzone marki na objady do kuchni taniej nie zaradzą złemu, bo żebrak jest także człowiekiem i obok posiłku ma inne niezbędne potrzeby, którym koniecznie musi zadość uczynić. Wreszcie nie żyje wyłącznie z piątkowych ofiar po sklepach zbieranych, i głównie źródłem jego dochodu, a kto wie czy nie jedynym środkiem utrzymania, są datki wierzących, że ofiarą grosza bezmyślnie rzuconego, skarbią sobie prawdziwą zaślugę. Na przekonanie że tacy są w błędzie, wielkiej we wszystkim potrzeba reformy, nie ma więc innej rady, tylko zabronienie żebrania po ulicach, zmuszenie młodych i silnych do pracy, wzięcie prawdziwych biedaków pod opiekę publiczną, i uregulowanie datków doraźnych w system stałej opłaty pod opieką i nadzorem Towarzystwa dobroczynności.

Bióro nędzy wyjątkowej ważne pod tym względem przynosi usługi, ale ratując biedaków, wyszukując ich



po zaułkach i poddaszach na usunięcie żebractwa ulicznego działać nie może.

Jest ono prawdziwym miłosierdziem, wsparciem cichej niedoli, ratunkiem istotnego nieszczęścia, pełni więc wszystko co do niego należy, a jak skrzętne jest w swęj czynności najlepiej przekonywa złożone publiczne sprawozdanie. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy na wsparcie 890 rodzin wydało 3,371 rsr: oddało w opiekę 13 opuszczonych sierot, pomieściło w zakładach dobroczynnych sześciu kaleków, rozdało 253 sztuk bielizny, różnych ubrań 178, kołder 2, poduszek 5, materac 1, pończoch i skarpetek par 78, obuwi par 23, świec funtów 16 i pochowało swoim kosztem zmarłych 28. Cyfry te aż nadto są wymowne aby potrzebowały komentarzy.

Przybyło nam nowe pismo humorystyczne p. t. Mueha, której życzymy jak najlepszego humoru. Trudne to zadanie być dowcipnym z obowiązku, zwłaszcza gdy o przeszkody do tego nie trudno ale niechno tylko sprawdzi się wiadomość o odkryciu nowych czterdziestu kopalń złota nad rzeką Abukuną, w kierunku drogi do Chin prowadzącej, to humor się znajdzie gdy o złoto nie będzie tak trudno jak dzisiaj. W powiększonym także formacie okazał się Opiekun domowy którego witamy także z równą życzliwością. O kierunku obu tych pism i ich rozwoju, powiemy później. Do pożądaných także nowości zaliczamy niezwykle obniżenie od nowego roku ceny Rozrywki dla młodocianego wieku, ułożonych przez panią Sewerynę z Żochowskich Pruszkową. Dwie ich serje, druga i trzecia gdyż pierwsza została zupełnie wyczerpana, składające się każda z tomów pięciu, kosztujące dawniej po rubli 5, obecnie sprzedają się po r. s. 2 i kop. 40 na koszta przesyłki pocztowej i każda oddzielnie może być nabyta. Cztery ruble za dziesięć sporych tomów, powinno zachęcić do ich nabycia, szczególnie rodziców troskliwych o umysłowe kształcenie swoich dzieci. W obszerny rozbiór tego wydawnictwa wdawać się niepodobna, wyliczenie choć pobieżne treści aż nadto wymownie świadczą o jego wartości. Mieszczą się tam: wspomnienia i opowiadania historyczne najwięcej z naszego słowiańskiego szczepu czerpane: historia literatury od najdawniejszych czasów aż po koniec wieku Jagiellońskiego przedstawiona: listy o literaturze współczesnej: życiorysy różnych miejscowych znakomitości, obrazy z rzeczywistości, rysy obyczajowe, poezja, obrazki, komedje i dramata historyczne i obyczajowe, powieści, listy z różnych miejscowości, podróże, zarysy literatury zagranicznej, wiadomości z nauk przyrodzonych, wreszcie rozmaitości.

Pomiędzy autorami, oprócz samej redaktorki, spotykamy imiona: K. Wł. Wojcieckiego, Pauliny Wilkońskiej, J. Łepkowskiego, A. Borkowskiej, K. Lewockiej, L. Grzegorzewskiej, W. Izdebskiej, I. Paszkowskiego, G. Zmichowskiej, I. Prusieckiej, H. Cieszkowskiego, F. L. Dmochowskiego, J. Chęcińskiego, Deotymy, M. Ilnickiej, T. Lenartowicza, Adama Pługa, W. Szymanowskiego, W. Chomętowskiego, R. Zmorskiego, L. Kunickiego i wielu innych.

Pan Lewental zapowiedział także wydawnictwo wszystkich dzieł Korzeniowskiego. Przedsięwzięcie to niezmiernie kosztowne bardzo jest na czasie, zwłaszcza że młodsze pokolenie świeżo włączone do poważnego obywatelstwa kraju, mało jest obeznane z pracami pisarzy, należącymi do młodzieńczej epoki ich życia. Pod tym względem można się nieraz spotkać z rażącą nieświadomością, i to nawet pomiędzy wdzierającymi się na wyżyny literackiego zawodu. Kto zaś nie zna dobrze ojczyźniej literatury, kto nie umie objąć jej kierunku i rozwoju, kto nie zbadał dobrze całego procesu myśli, jaką wyrabia cały naród i nie idzie z jej biegiem, nie umiejąc łączyć przeszłości z obecnością, ten nigdy dobrym pisarzem nie będzie. Może być naśladowcą, mniej więcej zręcznym i udatnym, ale nie stworzy nic nowego, oryginalnego, coby przed nim lepiej nie było powiedziane. Dla takich wydawnictwo wszystkich dzieł Korzeniowskiego wielce będzie pożyteczne, życzymy mu też jak najlepszego powodzenia.

Ot i wszystko co wam miałem dzisiaj powiedzieć. Jeżeli nie zająłem przyrzekam poprawę. Pomału nabiorę lepszego animuszu jak mawiali starzy, a wten czas pióro naostrzę na oba końce, aby smagać i kłuć mogło zarazem. Dziś byłem powściągliwszy; gwarne echa z trzeciej maskarady, brzęk licznych sanek uwijających się po ulicach Warszawy, weselość karna-

wałowych tancerzy, myślących o napaści na domowe zacisza, przystrojone w uśmiechnięte buzie młodych panienek, wszystko to przytępiło mi pióro i nie zrobiło tak swobodnym jak pragnąłem.....

## Korespondencja z Wiednia.

Dokończenie.

Pisząc sprawozdanie o wypadkach bieżących w Wiedniu, nie podobna pominąć śmierci Dra Jana Nep. Bergera byłego ministra. Urodził się on w r. 1816 w Prošnicach w Morawii. W 4 roku życia stracił ojca, a wkrótce potem matka jego skutkiem nieszczęśliwych okoliczności ujrzała się w niedostatku. Nauka młodego Bergera postępowała z trudnością dla braku funduszy, a gdy w 15 roku życia stracił i matkę utrzymywał się tylko z lekcji, oddając się filozofii i matematyce. Przybywszy do Wiednia, słuchał na tutejszym uniwersytecie prawa i astronomii. Pragnąc pozyskać stałe utrzymanie chciał szukać posady przy którymś obserwatorium, ale odradził mu to profesor Littrow, zwracając jego uwagę, że są wprawdzie miliardy gwiazd ale obserwatorów mało. Porzucił więc astronomię i w r. 1841 został doktorem praw. Pisał wiele do pism czasowych: nowelle, artykuły humorystyczne i rozprawy prawnicze. Został potem asystentem przy Theresianum a w r. 1848 rozpoczął zawód polityczny już to jako członek towarzystwa literackiego, już to jako poseł na sejm frankfurcki. Powróciwszy, był adwokatem i zasłynął wymową jako obrońca. Wybrany do rady państwa, został w r. 1867 ministrem bez teki i jako taki objął kierownictwo prasy. W styczniu z. r. w skutek rozdzielenia w ministerstwie, wystąpił, poczem wkrótce rozchorował się aby już nie powstać z łoża boleści. Nawet przeciwnicy polityczni oddają mu zasłużone pochwały, bądź co bądź życie jego posłużyć może za wskazówkę dokąd prowadzi praca, wytrwałość i nauka.

Wiedeń zbyt jest odsunięty od teatru wojny, aby ta mogła wywrzeć jaki wpływ na tę stronę życia jego mieszkańców, którą bierzemy w rachubę dla skreślenia naszej korespondencji. Wypada nam chyba wspomnieć o zbiegach z niewoli pruskiej, których nie kiedy spotkać można na ulicach naszego miasta. Wiele mil przebyli, najczęściej pieszo, wśród głodu i niedostatku. U ludności monarchii austriackiej znajdują oni wszędzie najgorętsze współczucie i pomoc braterską, jaka się należy niedoli.

Przyznać trzeba, że ludność niemiecka nie daje się pod tym względem wyprzedzać Słowianom. Wędrówki nieszczęśliwych zbiegów obfitują też często w bardzo piękne, rzewne epizody. Do Opawy przybyło niedawno 4 oficerów francuzkich, którzy uszli z jakiejś twierdzy w Szląsku pruskim. Było ich pierwotnie 6, jeden z nich chory, nie mógł iść, przeto owi 5 nieśli go na przemian mil kilkanaście. Postrzegli że ich ścigają, postanowili rozstać się z towarzyszem, który opóźniał ich ucieczkę, lecz aby go nie zostawić samego, ciągnęli losy, który z nich ma podzielić jego doleg. Los padł na najmłodszego. Co się z nimi stało, nie wiadomo z pewnością, lecz łatwo się domyśleć, bo kara śmierci, której ulegają francuzi zbiegli z niewoli pruskiej, jeszcze nikomu nie została darowana.

W czasach wojennych podróże dyplomatów są zwykle dość częste, nikogo też nie zdziwiło, gdy w jednym z tutejszych hoteli stanął jakiś obcy i powiedział, że jest przysłany z Wersalu w misji nadzwyczajnej do tutejszego ministerstwa spraw wewnętrznych, i nikt ze służby hotelowej najmniejszego nie powziął podejrzenia, gdy poseł nadzwyczajny oświadczył, że się nazywa Hr. Schweinitz, i gdy prosił, aby go ze względu na tajemnicę jego misji, nie meldowano w policji. Wszystko to zdawało się bardzo naturalnem, jak niemiętej i to, że poseł jadł i pił a nawet jeździł fiakrem na kredyt. Posłowi zwyciężkiej armii dozwolone są takie wybryki, mogące być skutkiem rozrządzenia przy nawale interesów i negocjacji dyplomatycznych. Ale w tem pan poseł zniknął. Właściciel hotelu zagrożony stratą znacznej kwoty o którą trudno byłoby dopominać się w Wersalu, udał się po radę do policji. Ta zabrawszy się energicznie do dzieła wysłędziła oszusta w innym ho-

telu. Pokazało się że był to rzeczywiście Hr. Schweinitz, ale ten, którego na początku bieżącego roku wypuszczono z więzienia gdzie 6 letnią karę odsiedział: prawdopodobnie tym razem jeszcze ostrzejsza spotka go kara.

Oszustwo to przypomina nam inne może jeszcze ciekawsze, o którym niedawno bardzo obszernie pisały dzienniki pragskie. W jednym z tamtejszych hoteli siedział przy piwie młodzieńczy i bardzo przystojny oficer, znany tam pod nazwiskiem księcia Batiiani. Wkrótce przybył inny wojskowy i zabrał miejsce przy tamtych. Rozmawiali. Lecz ten co później przyszedł, widząc że tamten nie ma wyobrażenia o stosunkach wojskowych, podejrzewał go że jest przebrany i kazał go aresztować. Komisarz policji pojechał z więźniem do mieszkania, a gdy ani patentu, ani dokumentu urlopowego nie znaleziono, odstawił go do więzienia. Tutaj chciano zrewidować go, dla przekonania się czy nie ma ukrytej broni, lecz strażnika uderzyły od razu miękkie formy, powziął więc podejrzenie że oficer jest przebraną kobietą. Posłano natychmiast po dozorczyńnię chorych do szpitala, i ta zrewidowała oficera, potwierdziła domysł strażnika. Natenczas mniemany oficer widząc że partja przegrana i ratunku nie ma, wyznał że nazywa się Helena F. i jest córką urzędnika z rogatki. Helena F. od dzieciństwa lubiła ubierać się po meżku, na co rodzice pozwalali. Chodziła z chłopcami do szkoły, dorosłszy, dawała lekcje chłopcom, i pracowała w biurach adwokackich jako pisarz. Kupiwszy sobie wreszcie suknie oficerskie, odgrywała jakiś, czas doskonale swoją rolę, narobiła bowiem niezmiernie mnóstwo długów. Miała nawet narzeczoną, z którą ją konfrontowano i wielce ładnym i posażnym pannom zawróciła głowę. Za oszustwo stawioną została przed sąd karny.

Stowarzyszenie do niesienia pomocy ubogim dziewczętom izraelskim w Wiedniu, odbyło temi dniami publiczne walne zgromadzenie. Stowarzyszenie to liczy obecnie przeszło 600 członków, miało w roku ubiegłym 3219 guldenów dochodu i nastęrczyło utrzymanie 137 dziewczętom, pobierającym przytem naukę w szkole dalszego kształcenia. Program stowarzyszenia zamyka się następujących słowach: szerzyć oświatę i ułatwiać klasom uboższym znalezienie pracy. Po odczytaniu sprawozdania przewodzieja wieszował stowarzyszeniu, że osiągnęło tak piękne rezultaty i zachęcał do wytrwania na obranej drodze. W końcu jeden z nauczycieli szkoły przez stowarzyszenie utrzymywanej, postawił wniosek o założenie biblioteki z darów dobrowolnych. Na to odpowiedziało dwóch członków, ofiarując się dać zaraz do biblioteki po 100 tomów na początek.

O świętach Bożego narodzenia nie wspominałem, bo się tak samo jak wszędzie za granicą odbyły, to jest cicho i spokojnie. Chyba o Christbaumach musiałbym pisać, ale i to nie nastęrcza ciekawego materiału.

St. Nowiński.

## KARTKA

### ZE SPOSTRZEŻEŃ FIZJOLOGICZNYCH

#### NAD ARTYSTAMI I PISARZAMI

ulożona przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Długi czas Anglicy nie widzieli nic innego w sztuce, jak tylko rozrzutność kosztownych substancji. Lubili, jak mówi jeden z ich historyków: „króli złotych z koronami złotymi, aniołów złotych ze skrzydłami złotymi, dziewice złote karmiące dzieci złote, i zawieszane w obłokach złotych. I niebo było złote i ziemia była złota.“ Wspaniałostwo materialna, to było wszystko co pojmowali z początku. Później dodali do tego zamiłowanie w realizmie, bez żadnej przymieszki ideału. Kromwel rzekł raz do Piotra Lé-ly, niemieckiego malarza, żyjącego w Anglii:



„Staraj się pan zrobić mój portret dokładnie, a bez pochlebstwa. Zauważaj pan dobrze moje zmarszczki, moje brodawki, moje krosty, nakoniec wszystkie szczegóły mojej twarzy. Jeżeli tego wszystkiego z najściślej dokładnością nie będzie, nie dostaniesz pan ani jednego penny.”

Malarstwo przeto w Anglii, było najprzód utylitarnem a potem realistycznym. Jakkolwiek podziwiania godnym jest Hogarth, to przecież słusznie ktoś o nim powiedział, że genjusz jego ma nogi i ręce, ale niema skrzydeł. *Wilkie* jest jeszcze większym realistą, i większym anglikiem od Hogartha. Nie zapomina o gwóźdź w bramie.

*Reynolds* więcej elegancki, z odcieniem obcym.

Harmonja niebieskawa *Gainsborougha*, wskazuje naturę czułą i wyborową, duszę łagodną. Posiada wdzięk wyższy od siły.

*Wilson* umysłu melancholijnego, jest malarzem barw jesiennych.

*Lawrence*, popsute dziecię szczęścia, oświeca promieniami własnego szczęścia twarze swych modeli, i rozlewa na nich kwiat piękna. Łagodzi wszystko, nawet starość. Jest stworzonym na malarza kobiet, szczególnie kobiet Anglii, o krwi czerwoniuteńkiej i świeżej. *Constable*, to pejzażysta angielski par excellence. Kto nigdy nie widział błyszczącej piękności pejzażu angielskiego, z jego roślinnością świeżą i wilgotną, ten nie może ocenić głębokiej prawdy *Constabla*.

Lecz czego brak tym wszystkim w ogóle, to właśnie *idealu*. Genjusz angielski, pozostanie zawsze pozytywnym i realistycznym. Zawsze i wszędzie można o nim powtórzyć, że ma nogi i ręce, ale nie ma skrzydeł.

A zatem, różne narodowości i kompleksje tak ludów jak i indywidualów, odeiskają swe piętno w malarstwie i w innych sztukach pięknych. A w każdym znów narodzie, odróżnić można łatwo rasy, co właśnie w malarstwie stanowi tak nazwane „szkoły.“ Mówi się: *szkoła florencka, rzymska, wenecka, lombardzka*, a wszyscy rozumieją o co chodzi, wyobrażając sobie zaraz tyleż grup i tyle typów odrębnych. Kto nie zna dumy florenckiej Michała Anioła, wdzięku lombardzkiego Corregia i Parmesana, świetności weneckiej Giorgione i Tintoretta, piękności i powabu rzymskiego Rafaela, bogactwa i zwężności hiszpańskiej Murilla i Ribeiry, bujności flamandzkiej Rubensa, i czaru światłocienia, będącego chwałą genjuszu holenderskiego Rembrandta?

W każdej atoli szkole, rozróżnia się jeszcze odcienia i rozmaite właściwości. I tak: bujności Rubensa, może przeciwstawić szkoła flamandzka precyzję Van-Dycka i finezją Memlinga. Florentyńska, dopełniająca swą chwałę, talenta łagodniejszego blasku, takich: Giottino, Masaccio, Andrea del Sarto, w których to sympatycznych postaciach, ludzkość łatwiej się poznaje. Jedni mają wielkość, drudzy wdzięk, a wszystko to jednak razem, zwie się: szkoła florentyńska. A skoro, krew, rasa i klimat nie wierają wpływu na dzieła sztuki, dla czegożby go nie miała wyrzucić religja, która bądź co bądź, stosowała się często do klimatu i do rasy. Wszakże znamy ludy *mono* i *politeistyczne*, *poli* i *monogamiczne* rasy łacińskie a katolickie, germańskie a protestanckie. Wpływy te rozliczne, nie miałyżby się odnaleźć tak samo w malarstwie, jak w muzyce i literaturze?

Czyż w literaturze tak trudno poznać pisarza protestanckiego, po stylu, zazwyczaj suchym i smutnym, choć potężnym? Jakaż naprzykład różnica między pismami Kalwina a Bossuet'a! Umysł protestancki jest zazwyczaj smutny, i mniej artystyczny od katolickiego. Albo w muzyce. Posłuchajmy *Stabat Mater* Rossiniego lub Pergoleza. Jeden i drugi podziwiania godny, dramatyczny, ale nie chrześcijański, a nawet nie religijny, gdy przeciwnie *Chorał* Lutra, dzikim swym zapętem i ponurą powagą, doskonale odzwierciedla entuzjazm Reformacji, fanatyzm nowej wiary!

Chryścjanizm ciskał w początkach na malarstwo i rzeźbiarstwo anathema, bo nie pomyślał jeszcze o piękności Chrystusa i Dziewicy. Sztuka złała się zrazu z poganizmem, więc też chryścjanizm potępiał ją. Malarstwo i rzeźba przedstawiają ciała w najdoskonalszych kształtach, ciało zaś religja chrześcijańska uważała za grzech i zepsucie. Później dopiero, pojmując potęgę sztuki i wyczuwając chciła ze swymi ideami pogodzić formy pogańskie. W katedrach, Chrystus w postaci Orfeusza grającego na lirze, poskramia dzikie zwierzęta, albo na wzór starożytnego Apollina, dobrego pasterza, siedząc pod

cieniem drzew i grając na flecie, strzeże swych owiec, albo jak Faun, dźwiga na swych barkach zablakana. W tych pierwotnych fazach, chryścjanizm zacierał sztukę pogańską na swą korzyść. Potem znowu, chcąc ją przeistoczyć prowadzi ją na fałszywą drogę. Jak niegdyś, religja pogańska nie pozwalała doskonalić się rzeźbie, tak samo religja chrześcijańska, przez długi czas, powodując się duchem ascetycznym, oddalała malarstwo. Ciekawą jest rzeczą, śledzić postęp nieprzerwany sztuki, począwszy od Madonny z Cibamua, aż do madonn Rafaela. Zwolna: „łono Marji odkrywa się, i z królowej niebios, staje się młodą matką, karmiącą nowonarodzonego. Jednakże długi czas, zatrzymują jej obrazy nazwę *Majestatu*, zanim otrzymały nazwę *Madonny*. Nareszcie maska bez życia przemienia się w typ, gdy artysta pewien swego talentu, porzuca kopjowanie poprzedników, i ośmiela się spojrzeć naturze w oczy, boskość podstawiając rysami tej kobiety, którą ukochał. Giotto ręką silną i wprawną, prowadzi dalej dzieło Cimabuy, czyli odrodzenie malarstwa. Pozostając przy przedmiotach świętych, pomija stare typy średnich wieków, i maluje to co widzi: „ogniste głowy włoskie, piękne i żyjące madonny, które otoczył aureolą, i postawił śmiało na ołtarzu“ — jak powiada Michelet.

Zasada sztuki wszakże, mówiąc prawdę, pogańska jest, czyli antychrześcijańska, w znaczeniu pierwotnym tego słowa. Potrzeba było, ażeby się chryścjanizm pod nazwą katolicyzmu, przemienił w pewien rodzaj nowego poganizmu, iżby malarstwo powrócić mogło do tego, co jest jego najżywoźniejszym celem: do uwielbienia piękna.

Katolicyzm sądził, że bierze sztukę na swe usługi, gdy tymczasem sztuka nim się posługuje. W epoce Odrodzenia, (Renaissance) odżywia poganizm pod nazwą katolicyzmu, Jowisz Olimpijski staje się Chrystusem, Apollo św. Janem, Wenus Magdaleną lub Dziewicą.

(d. c. n.)

## Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie.)

Zwracam się najpierw do ruchu literackiego i dziennikarskiego, w którym każdy nowy rok musi pewne zmiany przynieść. W tym roku nastąpiła niemiła zmiana, bo stanowczo już zwinęty został największy a do niedawna jedyny, najlepszy może organ literacki Galicji — *Dziennik literacki*. Wszystkie pisma nasze wypisały nekrolog nieboszczykowi, więc i ja poświęcę mu bodaj bardzo krótką wzmiankę.

*Dziennik Literacki* założony przed dwudziestu laty przez Karola Szajnochę, był bardzo długi czas jedynym poważnym piśmie literackim. W pierwszych rocznikach *Dziennika literackiego* znajdujemy młodzieńcze utwory ludzi, którzy dziś wysokie zajęli stanowisko w rządzie naszych uczonych i literatów. Późniejszy wydawca i redaktor Jan Dobrzański podniósł jeszcze więcej pismo pod względem materialnym i literackim. Redagowany później przez Jul. Starkla i K. Cieszewskiego, mimo wysokiej wartości literackiej *Dziennik* chylić się zaczął ku upadkowi. Z małą liczbą prenumeratorów objął przed trzema laty księgarz Karol Wild wydawnictwo, a Władysław Łoziński redakcję tego pisma. I ta zmiana nie podniosła materialnych sił pisma. Ostatnim wydawcą i redaktorem *Dziennika literackiego* był wydawca i redaktor *Mrówki* A. D. Bartoszewicz, na którego przypadek smutny obowiązek zwinienia pisma. Niepodobna odgadnąć przyczyny, dla której *Dziennik literacki* tak stracił dawną sympatję publiczności, że dawniejsza liczba jego prenumeratorów zredukowała się aż do czwartej tylko części.

W ostatnich miesiącach ściśle spojony był z *Mrówką*, wychodzącą w wielkich kwartalnych zeszytach. Obok tych dwóch pism wydawał ten sam wydawca jeszcze mały ilustrowany dwutygodnik: *Towarzysz. Bibliotekę Mrówki*, bardzo tanie wydawnictwo złożone z cennych przedruków i prac całkiem świe-

zych. Z góry można było przewidzieć, że taka emulacja nie podniesie żadnego ani materialnie ani moralnie. Jakoż istotnie skąpa liczba naszej publiczności podzieliła się temi pismami, w skutek czego żadne z nich nie uzyskało wystarczającej do egzystencji liczby prenumeratorów. Poznań wydawca zle skutki swój zeszytowej operacji i z początkiem nowego roku, zwrócił się na całkiem przeciwną, ale daleko praktyczniejszą drogę. Zwinął bowiem *Dziennik literacki i Bibliotekę Mrówki* (czasowo) i *Towarzysza* a zamiast tylu pism wydawał jeden arkuszowy tygodnik ilustrowany p. t. *Mrówka*, który odznacza się różnaitością i mnogością artykułów, a nadto co jest we Lwowie dotychczas jeszcze rzeczą bardzo rzadką, okazała formą zewnętrzną: rycinami kształtnymi jak na Lwów ubogi, posiadający tylko jednego dobrego drzeworytnika, pana Szymańskiego.

Już to bez humorystki u nas nic obejść się nie może, chociaż mamy dwa pisma (a trzecie w związku wyłącznie jej poświęcone). Prąd humorystyczny zewsząd silnie przebijają. Pisma publiczne w żaden sposób obejść się nie mogą bez fejletonów humorystycznych, jeżeli narazić się nie chcą na nieładną chórę na humorystykę publiczności naszej. W ostatnim zeszycie *Strzecha* także zrobiła wielkie ustępstwo temu prądowi, gdyż ostatnią kartkę poświęciła humorystyce. Na nieszczęście wśród tak silnego popytu na humorystykę, nie mamy dobrych humorystów i prawie wszystkie te aspiracje humorystyczne wypadają niefortunnie.

W teatrze mieliśmy w Grudniu dużo uroczystości, które zasługują na obszerniejsze wspomnienie. Młodzież akademicka urządziła przy pomocy młodego a bardzo utalentowanego artysty lwowskiego pana Władysława Wolańskiego, dwa przedstawienia amatorskie na korzyść swoich stowarzyszeń. Jedno przedstawienie wypadło wcale pomyślnie, gdyż wybrano dwie lekkie komedjki, które ani objętością swoją ani artystycznymi trudnościami nie przewyższały sił amatorów. Drugie przedstawienie amatorskie nie wypadło tak pomyślnie, bo amatorowie zrobili niezbyt szczęśliwy wybór sztuki. Grano komedję J. Chęcińskiego *Cicha woda brzegi rwie*, którą amatorowie bardzo dobrze odegrali i *Samson*, dramat biblijny Kornela Ujejskiego, a raczej tylko maleńki fragment dzieła, któremu autor zakreślił szerokie bardzo rozmiary. Już sama myśl przedstawienia fragmentu jest nieszczęśliwą. Nadto fragment ten nie zawiera nawet połowy właściwej ekspozycji każdego dramatu, lecz jest tylko maleńkim odłamem nieskończonego, a znakomitego dzieła. Jak każdy utwór Kornela Ujejskiego, tak ów fragment dramatu biblijnego trzymany jest w tonie bardzo podniosłym, który tylko prawdziwy artysta potrafi oddać z właściwą miarą, nie popadając przytem w monotonna deklamację. Amatorom bardzo trudno było ustrzedz się tego błędu, więc cały ton poematu najzupełniej chybił. Główny jednakże cel całego przedstawienia był w obu wypadkach zupełnie osiągnięty, gdyż teatr był przepelniony, a w kasie pokazała się wielka nadwyżka. Z tego pokazało się, jak świetnie stanęłaby mogła nasza scena, gdyby jej dyrekcja umiejętnym kierownictwem, zaskarbiła sobie sympatję publiczności.

Tymczasem na przedstawieniach zwykłych pokazuje się zawsze stosunkowo bardzo słaba frekwencja. Zwłaszcza po odjeździe sympatycznej artystki panny Romany Popielówny, teatr dla bardzo znacznej liczby osób stracił wszelki urok. W ciekawy sposób stara się uspokoić publiczność, po tej dotkliwej stracie *Journal* oficjalnie tutejszej dyrekcji: *Kurjer teatralny*. Otóż ten zabawny dla swoich niezgrabnych sofizmów organ teatralny, chce teraz wzmóc w publiczność, że panna Romana Popiel, którą dawniej dyrekcja pod niebiosy wynosiła, stała się wcale mierną artystką, odkąd wyjechała ze Lwowa do Warszawy. W również śmieszny sposób tłumaczy *Kurjer teatralny* dlaczego dyrekcja, nie zaprosiła pani Rakiwiczowej na występy gościnne do Lwowa, skoro była tak blisko nas bo w Krakowie. Otóż nieoceniony *Kurjerek* tak mniej więcej pisze. Gdyby pani Rakiwiczowa była genialną artystką, toby jej z Warszawy nie puszczano. A reszta występy gościnne nie dają dyrekcji rękami dostatecznego dochodu. Pierwszy argument nawet zaślepionych zwolenników dzisiejszej dyrekcji pobudził do homerycznego śmiechu, a drugi w najfatalniejszy dla dyrekcji sposób ilustruje przysłowie francuskie: *Qui s'excuse s'accuse*. Dyrekcja dba więc tylko o zysk a nie o artystyzm.



i publiczność. Na nieszczęście dyrekcja tak trwożliwa o zysk pomyliła się w tym razie najfatalniej. Występy bowiem gościnne p. Rakiewiczowej byłyby może przyniosły zysk tak wielki, jak występy p. Jana Królikowskiego.

Na zakończenie korespondencji donoszę, że pojawił się wreszcie długo i niecierpliwie wyczekiwany humorystyczny kalendarz *Chochlika* i ten nie zawiodł wcale nadziei, które do jego dawno już wypróbowanego humoru, publiczność lwowska przywiązywała. Humor jego jest pełen werwy i nigdzie nie grzeszy płaskimi wybrykami, od których dzisiejsza humorystyka bardzo rzadko ustrzedz się potrafi. Największą może zaletą *Chochlika* jest jego płynna forma, pełna elegancji i wprawy nadzwyczajnej. Na przykład przytaczam tutaj jeden wierszyk stojący na czele kalendarza:

JA i ON.

*On.* Jeszcze żaden humorysta  
Tak nie umiał nam dogodzić,  
Mój Chochlika oczywista  
Żeś się musiał w czepku rodzić!  
Choć nie szczędzisz twojej pletni,  
Każdy tobą się zachwyca:  
I szlachetni i słowetni,  
I salony i ulica.

*Ja.* Więc czytałeś?

*On.* Oczywiście!

*Ja.* No i cóż ty na to — he?

*On.* Ach uśmiełem się siarczyście!

*Ja.* Czy kupiłeś?

*On.* Nie!

Lecz ci powiem coś na uszko,  
Tylko mi się nie psuj wasze;  
Przepadają moja duszko  
Za Waszmością panie nasze —  
No i cóż ty na to — he?

*Ja.* Czy kupują?

*On.* Nie! —

Cóż u kata; już pochwały  
Jegomością widzę psują;  
Ja nie mówię, że zyskały  
Fraszki jego wzgląd płci białej  
A on pyta: Czy kupują?

Więc ci powiem chociaż gotów  
Gniewem na mnie się unosić,  
Znam panienkę, która nosić  
Nie chce innych papilotów,  
Tylko takie, które cięte  
Z Waszmościowych są ramotek,  
Ha trafłem ciebie w piętę  
Kandydacie papilotek?  
No, i cóż ty na to — he?

*Ja.* Czy kupuje?

*On.* Hm, kupuje.

*Ja.* A czy czyta?

*On.* Nie!

*Ja.* Dla tej wielką wdzięczność czuję,  
Bo nad wszelkie czeze wyrazy  
Platonicznych sentymentów  
Milszą mi jest tysiąc razy,  
Beatrix — pięćdziesiąt centów! <sup>1)</sup>

Br. Ł.

<sup>1)</sup> To jest kwartalna prenumerata *Chochlika*.

## O pierwszych balach w Rosyi.

(Dokończenie).

W krótkie społeczeństwo całe podzieliło się podług rozmaitych stopni wykształcenia. Zebrania nie przeważały się, ale przychodziły już tylko osoby zaproszone przez gospodarza. Na takich zebraniach najznakomitsze w państwie osoby zapominały o swęj wielkości: cesarska rodzina na assablach starała się uprzejmem obejściem i udziałem w zabawie ośmielać obecnych. Imperator, imperatorowa a szczególnie wielkie księżne zawsze wiele tańczyli. Każdy mógł prosić je do tańca, a ponieważ wielu dobijało się o ten zaszczyt, nie miały więc chwili odpoczynku.

Ludzie starsi i wyższych stopni często także szli do tańca razem z innymi. Car zabawiał się ich zmęczeniem; posłuszni jego woli musieli spełniać ogromny puhar orła. Assamble bywały nie tylko w Petersburgu, z przeniesieniem dworu do Moskwy 1722 roku, zaprowadzone były i w tej stolicy. Zebrania podług wydanego ukazu wypadały trzy razy na tydzień: w Niedziele, we Wtorki i Czwartki. Oprócz tych wydawane były pomniejsze wieczory, gdzie mniej było gości, ale większa swoboda i wesołość. To też zabawa często przeciągała się do 3 godzin po północy. Muzyka na assablach składała się po większej części z instrumentów dętych: z trąb, fagotów, oboji i kottłów.

Wielu magnatów miało własną nadworną kapelę. Jedną z lepszych była u księżnej Czerkaskiej. Książę Karol Ulrych holsztyński — hottoprski przybył do Rosji 1721 roku i ożeniony z wielką księżną Anną Piotrówną, miał w swojej świecie kapelę złożoną z fortepiana, kilku skrzypców, wiolonczeli, dwóch fletów, dwóch waltorni i jednego kontrabasu. Piękna i dobrana gra muzykantów, nowość przywiezionych instrumentów, otwierały im pole do popisu, toteż powszechnie mówiono iż taki bal, na którym holsztyńscy muzykanci nie grają, nie jest balem.

Ochota do tańca z czasem coraz bardziej rozpowszechniała się. Za panowania Katarzyny I nieumiejętność tańca u panien, uważano za brak wychowania. Na dworze nie były przyjęte assamble, wkrótce też zupełnie wyszły ze zwyczaju a ich miejsce zajęły bale.

Piotr Wielki nie cierpiał kart, przekładał nad nie szachy i arcaby — to też sprowadzanie kart surowo było zabronionem.

Dopiero Katarzyna I wprowadziła grę w karty. Cesarzowa Anna, która dodała wiele przepychu dworowi lubiła zabawy. W dniu uroczyste i przy każdym niezwykłym zdarzeniu wydawane były bale u dworu; bywały one bardzo świetne i wspaniałe i nabrały więcej europejskiego charakteru. Dym tytoniu i szcęk palaszki, nie męczył już tańczących a kara wypijania puharu *wielkiego orła* skasowana była zupełnie.

Ówczesni pisarze wspominają o jednym balu na który zaproszeni zostali posłowie Bucharji, Turcji i Chin, bawiący natenczas w Petersburgu.

Cesarzowa Anna zapytała posła Chińskiego, która z dam przytomnych najwięcej mu się podoba:

— W noc gwiazdzista — odpowiedział Chińczyk — trudno osądzić, która gwiazda jest najjaśniejsza.

Lecz spostrzegłszy iż ta odpowiedź nie zadowoliła cesarzowej, zbliżył się do wielkiej księżnej Elżbiety Piotrówny, nisko skłonił się przed nią i dając jej pierwszeństwo przed drugimi, wyrzekł:

— Nie podobnem byłoby wytrzymać oślniewającego blasku wzroku waszej książ. m. gdyby tylko jej oczy były trochę mniejsze.

Takto każdy naród ma swój gust, i wielkie oczy uważane u nas za powabne, wydały się Chińczykowi wadą piękności.

Bardzo głośnym był także bal dany w Petersburgu w letnim ogrodzie, z okazji zdobycia Gdańska 1735 roku, urządzony pod długim pokryciem z zielonej jedwabnej materji, przeciągniętem nad główną aleją. Różnokolorowe ognie, któremi oświetlony był ogród, transparenta urządzone w wielu miejscach, obrazy allegoryczne odpowiednie obchodzonej uroczystości, przedstawiały wspaniałe widoki.

W czasie rozpoczęcia balu wprowadzono dwunastu francuzkich oficerów, wziętych do niewoli pod Gdańskiem. Kiedy każdy z nich przystępował do ucałowania ręki cesarzowej, ta zwróciła się do naczelnika brygadiera hrabiego de la Mont-Perousse i rzekła:

— Nie dziw się pan, że wybrałam taką chwilę do audjencji. Francuzi złem obejściem się z rossjanami, którzy mieli nieszczęście dostać się w ich ręce, dali mi prawo zemsty, ale ja zadowolniałam się wyrażoną wam obecnie nieprzyjemnością. Ponieważ naród francuzki słynie z uprzejmości, spodziewam się że zebrane tu damy, zdołają zatrzeć wam w pamięci przykreść waszego położenia.

— „Naj, pani — odpowiedział hrabia de la Mont W. C. Mość umiałaś znaleźć sposób pokonania nas dwa razy: raz, gdy pomimo chęci złożyliśmy broń i teraz gdy z ochotą oddajemy hołd waszem pięknościom zdobywającem nasze serca.“

Cesarzowa Anna lubiła dawny narodowy taniec, corocznie w ostatki zapraszała do dworu podoficerów gwardji z żonami, które umiały tańczyć ruskie tańce. Dworzanie a nawet członkowie cesarskiej familji przyjmowali udział w tej narodowej zabawie.

W czasie panowania Elżbiety Piotrówny, bale rosyjskiego dworu sławne były w Europie. Znakomity baletmistrz Lande, przyznawał, że nigdzie z takim wdziękiem nie tańczono menueta jak w Rosji. Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż sama cesarzowa tańczyła odznaczająco pięknie szczególnie menueta i ruski taniec.

Za niej wprowadzono bale z maskaradą w miejsce zapustowych maskarad, które za Piotra I ograniczały się na jeżdżeniu sankami. Szlichtada ale bez masek, weszła do ceremonjału zabaw dworskich, natomiast bywający u dworu przyjeżdżali w maskach w dni oznaczone. Zaś na nowy rok wszyscy mężczyźni przebierali się za kobiety — a kobiety za mężczyźni, lecz nie kładziono masek.

Męskie ubranie tak było do twarzy cesarzowej Elżbiecie Piotrównie, iż na jednej z takich maskarad wielka księżna Katarzyna Aleksiejewna zachwycona pięknoscią cesarzowej rzekła po francuzku:

— Szczęściem to dla nas kobiet, że N. P. jesteś mężczyzną tylko na ten wieczór, inaczej byłabyś bardzo niebezpieczną.

— Wówczas — odpowiedziała cesarzowa — z pewnością do ciebie pierwszej zwróciłabym moje hołdy.

Podając krótki rys pierwszych zabaw i bali w Rosji, wypada wspomnieć i o modach jakie były używane. Przejawszy od Francuzów zwyczaj zabaw, przejęto także ich stroje balowe. Nie można jednakże wystawiać sobie, że to były lekkie i powiewne tkaniny w jakie stroją się dzisiajsze piękności.

Wystawcie sobie kobietę ściśniętą gorsetem, niknącą wśród ogromnej rogówki w trzewikach z obcasami, mającemi półtora cala wysokości, a tańczącego z nią mężczyznę w pudrowanej peruce, w szerokim, sztywnym kaftanie z kwadratowemi sprzączkami na ciężkich trzewikach i osądźcie, czy ta para mogła wirować lub sunąć się w tańcu z tą lekkością i zwinnością jakie widzimy teraz?

Ciężkie suknie z długimi ogonami były po większej części złotolite lub z jedwabnego adamaszku, haftowane złotem i srebrem, przybrane perłami i kosztownymi kamieniami.

Lecz nad niczem moda nie panowała z taką tyranią jak nad ubraniem głowy; fryzury ciąglem podlegały zmianom prawie na każdym zebraniu to podnosili to znizali układ włosów. Pokrywali je pudrem albo zostawiając naturalny kolor przeplatali brylantami i perłami.

W ogóle bogactwo w ubraniu zastępowało gust; damy nie znały ile ujmująca prostota dodaje wdzięku. W każdym szczególe odznaczał się ciężki przepych którym, przesadzano się na wyścigi.

## KORESPONDENCJA.

Pani Marcie C. Strój ślubny z białego tarlatanu z girlandą i welonem kosztować będzie rs. 50.

Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.



## PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ulożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

### VI.

Obudził mnie turkot kół na dziedzińcu. Pociągnęłam taśmę od dzwonka, a gdy służąca weszła spytałam czyby to kto przyjechał.

— Nie, odpowiedziała, to owszem pan Franciszek odjechał.

Poczułam w sercu jakby nagłe ukłucie śpiłką. Taki mię żal ogarnął, że schowałam się do alkowy z bojaźni aby sługa nie dojrzała łez, które mi się zakłęciły w oczach. Wczoraj przecie nie mówił mi, że odjeżdża, myślałam, żeby się był choć pożegnał, a może go czem obraziłam? Mój Boże! musiał odjeżdżać bardzo smutny. Nie wiedziałam dobrze dla czego, koniecznie miał być smutnym odjeżdżając, przeżuwałam tylko, że żal mu było mię opuszczać. Gdy tak rozmyślałam siedząc na łóżku weszła do alkowy Binia.

— Czy nie wiesz Biniu, spytałam, dla czego kuzynek Franuś, tak niespodzianie dziś odjechał?

— I owszem, odpowiedziała, nad rankiem otrzymałam list od swych ciotek, rozkazujący natychmiast do nich wracać. Na wyrazie rozkazujący, Binia położyła szczególny nacisk.

— O mój Boże, zawołałam, czyżby też nie mógł kilka godzin opóźnić wyjazd, aby się pożegnać z mamą i ze mną!

Binia pokiwała głową znacząco.

— Jak się jest u kogo na łasce, wyrzekła z wolna, to się traci prawo rozporządzania, choćby jedną godziną swego życia!

Znowu przydki wyraz: na łasce, wpadł mi w ucho i zaćmił sobą miły obraz kuzynka. Straciłam zupełnie humor. Ubierałam się tak niedbale, że aż mi się przyganiała służąca, a gdy wyszłam z mego pokoju i znalazłam matkę przy rannej herbacie, o mało się nie rozplakałam spojrzawszy na niezajęte miejsce przy stole, na którym zwykle z powitalnym bukietem siadywał Franuś. Powściągnęłam jednak jak mogłam przykre wzruszenie, bo zobaczyłam oczy mojej matki utkwione we mnie z bacznością. Gdy usiadłam przy niej, wzięła mię za rękę i rzekła z łagodnością, ale zarazem bardzo poważnie:

— Czy pamiętasz Waciu, że pierwszego dnia twojego tu pobytu, gdyś tu zaplatała swoją frendzlę z buhonem portjery mówiłam ci, że panna, która nie jest już pensjonarką i nosi długie suknie, powinna być na każdym kroku bardzo ostrożną i uważną?

Odpowiedziałam, że pamiętam to bardzo dobrze, ale nie dorozumiewałam się jeszcze wcale, do czego stosują się te słowa.

— Chcę ci więc teraz powiedzieć, ciągnęła matka, że w życiu daleko gorsza może się stać płatnina niż zaczepienie frendzli, jeśli młoda osoba nieuważnie postępuje z młodym mężczyzną.

Zaczynałam domyślać się o co idzie, ale jeszcze nie pojmowałam w zupełności słów matki.

— Chcę tu mówić o twojem postępowaniu z kuzynem Franusiem, mówiła dalej, zanadto się z nim spoufaliłaś. Widziałam wczoraj przez okno jak w ogrodzie dałaś mu narcyz. To nie dobrze. Młoda panna nie powinna nigdy postępować w ten sposób z młodym człowiekiem, który dla niej partji do marjażu stanowić nie może.

Franuś dobry jest chłopak, to prawda, i sama go bardzo lubię, ale nie ma żadnego funduszu, a zatem odpowiedniej pozycji w świecie; nie może więc ani pomyśleć o ożenieniu się z panną posażną i tak jak ty starannie wychowaną. Ludzie widząc między wami zbyt poufne stosunki, mogliby jeszcze przypuścić żeś się nim zajęła, a przez to odstęczyłabyś od siebie dobre partje, które ci się zdarzyć mogą.

Śluchałam mowy mojej matki z wielkiem zdziwieniem i nieokreślonym jakimś bólem w sercu. Dziwiło mię twierdzenie, że Franuś ani pomyśleć nie może o ożenieniu się z panną posażną i dobrze wychowaną dla tego tylko, że jest ubogim. Wewnętrzny głos mówił mi, że było to niesprawiedliwym. Cóż on winien temu, że mu los nie dał bogactwa? A gdyby pokochał taką pannę o jakiej mówiła moja matka, czyżby się miał rozstać z nią i cierpieć dla tego tylko, że nie posiadał funduszu? Przecież tyle razy czytałam w powieściach, że ubodzy młodzi ludzie pracą zdobywali bogactwa i żenili się potem z temi, dla których uderzyły ich serca! Obok tej myśli przypominałam sobie słowa Bini, że Franuś był próżniakiem i żył na łasce bogatych krewnych, a przypomnienie to właśnie zabolalo mię. Zabolały mię jeszcze słowa matki o dobrych partjach, któreby mogła odstęczyć od siebie, zbyt poufałam obejściem się z kuzynkiem. Więc miałam zadawać kłam moim chęciom i pocuciom, zapierać się przyjaźni jaką czułam dla dobrego kuzyna dla tego tylko, aby nie zrazić kogoś tam do ożenienia się ze mną? Głęboko mię ta myśl upokorzyła. Czyliż mi tak koniecznie potrzebne te dobre partje? Dla czegoż kuzynki nie może się nazywać dobrą partją? Czyliż tylko bogaty człowiek dobrą partją nazwać się może?

Obudziłam się z zamyślenia i zwróciłam się do matki z pytaniem:

— Moja mamó, co właściwie nazywa się w świecie dobrą partją?

Zdawała się zdziwioną tem zapytaniem, które nagle inny zwrot nadawało rozmowie!

— Dobrą partją, odpowiedziała, nazywa się marjaż, który daje młodej osobie stosowne do jej urodzenia i wychowania stanowisko w świecie.

— A cóż to jest stanowisko w świecie? ponowiłam pytanie.

— Jest to położenie społeczne, oparte na urodzeniu, i majątkowe płynące z posiadanego funduszu.

— Więc ażeby mężczyzna mógł stanowić dobrą partję, musi posiadać piękne nazwisko i znaczny majątek?

— Niezawodnie, odrzekła moja matka.

— A jeśli przy nazwisku i majątku rozumowałam dalej, ma on zyzowate oczy, albo nie ma wcale nosa, albo jest garbaty czy kulawy, albo ma złe serce, albo nie nie umie, czy pomimo to zawsze stanowi on dobrą partję?

Matka moja wyraźnie zmieszkała się i długo nieodpowiadała, nakoniec rzekła:

— Nie ma tu mowy ani o zyzowatych oczach, ani o braku nosa, ani o garbie ani o złym sercu, są to wszystko rzeczy bardzo wyjątkowe. To tylko pewno że brak odpowiedniego stanowiska w świecie, jest

największą stanowczą przeszkodą, jaka stoi między ubogim mężczyzną a panną posażną i dobrze urodzoną. Dla tego też nie chciałyby aby ludzie widzieli zbyt dużą przyjaźń dla Franusia, bo samo nawet przypuszczenie, że się nim zajmujesz, rzuciłoby na ciebie śmieszność i mogłoby cię skompromitować.

To rzekłszy moja matka pocałowała mię w czoło i zamieniwszy jeszcze kilka słów o potocznych rzeczach wyszła z pokoju.

I znowu wystąpił mi przed oczy wyraz: ludzie! Była to więc ta sama historia niestosowności dla kobiety zbyt niegodziwego rozumowania, która mię tak zajmowała w pierwszym dniu po przybyciu. Szło tu jednak o rzecz bardziej dla mnie na dobre dotkliwą. Przyjaźń moja dla Franusia, którą tak serjo przyrzekałam przy oddawaniu narcyza, miała paść ofiarą ze względu na ludzi! Czułam, że jeśli w tym razie pójdę za wskazówkami jakie podawała mi moja matka, i okażę się obojętną dla biednego kuzyna, popełnię niesprawiedliwość. Przypominałam sobie smutek jaki w nim parę razy spostrzegłam, a to przypomnienie wzmogło moją eteryczną i bezwiedną sympatję dla niego. Wyszłam do ogrodu i całą godzinę chodząc po aleach myślałam o Franusiu. Stopniowo coraz więcej, zaczynałam znajdować podobieństwa między nim, a moim ulubionym bohaterem z powieści.

### VII.

Znowu minęło parę tygodni, przepędziłam je w ciągłych marzeniach. Nic nie robiłam. Budziłam się późno, przepędzałam przy toalecie długie parę godzin, bo panna służąca moja, chcąc się popisać z kuzynką, jaką odniosła z lekcji wziętych od najlepszego w Warszawie fryzjera, codziennie inną a bardziej skomplikowaną urządziła mi koafiurę. Raz splatała włosy moje w warkocze i okręcała mi je w koło głowy, tworząc w ten sposób nad czołem wysoki diadem, innym razem nielitościwie zakręcała je w papiloty, a potem przypiekała rozpalonem żelazkiem, z czego tworzyły się długie i gęste jak las angielskie loki, to znowu urządziła z tyłu głowy tak misterne pukle, iż wydawały się wielką kokardą z szerokiej ułożonej wstęgi. Zajmowały mię te zmiany niezmiernie z niezmaczoną cierpliwością, siadywałam całymi godzinami przed lustrem, ze sztywnie wyprostowaną głową, aby najłżejszem poruszeniem nie zepsuć lub nie utrudnić dzieła, które się nademną dokonywało. Czasem nudziło mię to nieruchome siedzenie i natenczas patrzyłam w lustro poddając dla rozrywki twarz moją najściślejszemu rozbirowi. Niekiedy uśmiechałam się do mego obrazu w zwierciadle, bo za nim spostrzegłam błękitne oczy Franusia które wyraźnie mówiły mi że jestem ładna.

Późno po południu wychodziłam po skończonej toalecie do salonów i przepędzałam parę godzin z moją matką na pogadankach, które toczyły się zawsze prawie około stroju, sąsiedztwa którego jeszcze nie znałam i różnych zwyczajów światowych. Następnie cały prawie dzień przepędzałam w ogrodzie, gdzie zaczynało być z wiosną bardzo pięknie.

Był to ogród starożytny i obszerny: dzielił się na dwie części z których jedną przerzynały cieniste sklepienie alei; druga w Angielskim rodzaju pełna była gajów, trawników, altanek, ścieżek krętych i sztucznych grot z mchu i kamieni. Zapoznałam się z ogrodnikiem Niemcem, który uszczęśliwiony był, że mógł rozmówić się ze mną swoim rodzinnym języ-



kiem — i wzięwszy na to pozwolenie od matki, kazałam mu pod moją dyrekcją urządzić parę altan i mnóstwo klombów o fantastycznych kształtach, do których wzory czerpałam z własnej wyobraźni. Bawiły mnie bardzo te roboty, a szczególniej możliwość rozkazywania komuś, której używałam po pierwszy w życiu, ale nierównie więcej jeszcze zajęta byłam własnymi marzeniami, które roily się w mej głowie z mnogością młodych pszczołek unoszących się nad kwiecistą łąką.

Pomiędzy temi marzeniami najwyraźniejsze majączone trzy postacie: kuzynka Franusia, owego ulubionego bohatera z powieści i młodego sąsiada z Gotyckiego pałacyku, którego obraz najrozmaiciiej przedstawiał się mej wyobraźni. Kuzynek jednak otrzymał najczęście zwycięztwo nad owymi dwoma rywalami. Zaraz po owej rozmowie jaką miałam o nim z moją matką, poczułam dla niego żywszą niż wprzódy sympatję. Zdradzała się ona spólcuciem dla biednego chłopca, względem którego nie wolno mi nawet było okazywać przyjaźni bez narażenia się na śmieszność i obmowy. Nazajutrz myślałam o nim więcej, na trzeci dzień jeszcze więcej a czwartego dnia zატęskniłam za nim bardzo. Piątego dnia chodziłam nad wieczór po lipowej alei, zmrok zapadł i gwiazdy występowały na niebo jedna po drugiej. Powietrze ciepłe napełniała woń wiosennych kwiatów, które obficie kwitły na klombach: w gajach brzozowych parę razy ozwał się słowik i wietrzyk łagodny cicho zaszelecił w gałęziach lip. Pomyslałam o kuzynku i serce zaczęło mi uderzać w piersi mocno, zapragnęłam aby był przy mnie; wymarzone postacie bohatera powieściowego i młodego sąsiada, rozwiały się jak mgła a wysoko między gwiazdami zaświeciły nademną błękitne oczy. Franusia, i patrzyły na mnie smutnie a z uwielbieniem.

Kiedy wróciłam do salonu, matka moja spojrziała na mnie przy świetle lampy i rzekła:

— Nie dobrze jest, że tak późno przechadzasz się po ogrodzie, chłód wieczorny może ci szkodzić. Uważam, że oczy masz trochę zaczerwienione od zimna zapewne.

Matka moja która była trochę cierpiącą i cały dzień nie wychodziła z pokoju nie wiedziała o tem, że w ogrodzie było bardzo ciepło, a oczy moje zaczerwieniły się nie od zimna, ale od dwóch łez, które mi spadły na jedwabną sukienkę, gdy wchodząc na ganek domu pozostawiłam za sobą cienistą aleję z zamkniętą w jej cieniach postacią kuzynka, i świecącemi nad nią jego wymownemi oczami.

Nazajutrz od samego już ranka, gdzie się tylko obróciłam w koło mnie błąkała się twarz Franusia; głos jego słyszałam w szumie gajów brzozowych, oczy jego spuszczały się ku mnie na promieniach słońca. Gdy usypiałam wydawało mi się, jak pierwszego wieczora, że franki przysłaniające alkoję szepotały niewyraźnie jego imię. Usnęłam i w śnie widziałam zwieszony nad sobą niebo wieczorne, a na niem między złotemi gwiazdami dwie gwiazdy błękitnych oczu... Obudziłam się, położyłam rękę na sercu i nieśmiało, bardzo nieśmiało zapytałam: czyliżbym go kochała?

Biała lampka paliła się na kominku, a przyémione jej światło tak drżaco i niepewnie migotało po ścianach pokoju, jak drżaco i niepewnie migotały w mej głowie myśli, gdy siliłam się dać odpowiedź na własne pytanie.

VIII

Pewnego dnia zaledwieśmy z matką powstały od obiadu, który jadałyśmy o szóstej po południu, rozległo się za bramą podwójne uderzenie z bata i na dziedzińcu wtoczyła się ciężka karetą z sześciu końmi.

Spojrzałyśmy pośpiesznie w okno.

— To pani S. z córkami przyjechała! rzekła moja matka.

Słyszałam już była od matki i Franusia o tej naszej sąsiadce; ciekawa byłam ją poznać a przytem ucieszyłam się widząc wysiadające z powozu dwie młode panny.

Matka moja uprzejmie podbiegła ku drzwiom, które lokaj na oścież otworzył i ujęła ręce wchodzącej sąsiadki. Była to 40 letnia przeszła kobieta wysoka, otyła, ubrana w suknię aksamitną i kapelusz o strusich piórach, z pewnym wyrazem dumy na ustach i złośliwości w oczach. Za nią weszły dwie jej córki ale m zrazu mało na nie zwróciła uwagi, bo stojąc na stronie przypatrywałam się powitaniom mej matki z przybyłą. Sciskały się serdecznie za ręce.

— Bonjour, bonjour chère M-me Mathilde, mówiła pani S. takim się za panią stęskniła ma toute bonne! ma toute aimable!

— Oh, merci, merci, odpowiedziała moja matka ściskając ciągle ręce pani S. wybierałam się w tych dniach do pani, bo nigdy nie mam dosyć jej miłego towarzystwa!

— Dobra jesteś o tyle o ile piękna, nieoceniona pani Matyldo! z nowem przymileniem wyrzekła pani S.

— Zawsze nie tyle dobra i miła jak pani, odpowiedziała moja matka.

W ciągu tej arcy grzecznej i czulej rozmowy, słyszałam jakiś fałszywy ton brzmiący w głosie mej matki i pochwytywałam złośliwe błyski oczu pani S. Byłam pewną, że obie te panie mówiły nieprawdę i zdziwiłam się.

— Córka moja, Wacława, wymówiła moja matka prezentując mi sąsiadce.

Pani S. orzuciła moją osobę takim spojrzeniem, że byłam pewna, że w tem mgnieniu oka porachowała wszystkie włosy na mej głowie i guziczki przy sukni, potem wyciągnęła do mnie rękę i rzekła:

— Bonjour, mademoiselle! oto są moje córki: panna Emilja i panna Zenona. Spodziewam się że panie poznać się z sobą bliżej i poprzyjaźnicie.

Obie panny podały mi ręce i wtedy dopiero uważniej na nie spojrzełam. Były to młode dziewczęta w moim wieku lub mało starsze odemnie, ni ładne ni brzydkie, białe, różowe z zadartemi noskami, wyprostowane, sztywne, bardzo modnie i kosztownie ubrane. Matka moja i pani S. usiadły na kanapie, ja i dwie panny na fotelach i zaczęła się rozmowa.

Zrazu przecież ja i panny S. tworzyłyśmy milezącą trójkę, czułam że wypadało mi rozpocząć z niemi rozmowę, ale nie wiedziałam odczego zacząć. Wybawiła mię z kłopotu p. Zenona odzywając się:

— Pani długo była na pensji?

— Ośm lat odpowiedziałam.

— I zupełnie już pani pensję ukończyła?

— Zupełnie.

— Jakże się pani wieś podoba?

Odpowiedziałam że znajduję ją zachwycającą i na tem skończył się djalog pierwszy.

Panny S. spuściły oczy i siedziały nieruchome.

Sama nie wiedziałam jak mam dalszą zawiązać rozmowę i siedziałam jak na rozpalonych węglach.

— A panie stałe zamieszkują na wsi? odważyłam się zapytać.

— O tak, odpowiedziały obie razem i na tem się skończył djalog drugi.

Matka moja rzuciła na mnie wymowne spojrzenie, zrozumiałam, że mówiło mi ono abym była rozmowniejszą. Ale o czem tu mówić z osobami które pierwszy raz w życiu widzę, a które siedzą na krzesłach wyprostowane jak śpileczki i oczy trzymają utkwione w falbankach swoich sukien?

— Jakże panie czas przepędzają ozwałam się w końcu.

— Nie zupełnie dobrze, odpowiedziała p. Emilja.

— Doprawdy, zawołałam ze zdziwieniem, a mnie tak przyjemnie czas przechodzi!

— Nic dziwnego, pani dopiero wróciłaś z pensji i wszystko dla niej jest nowością, odezwała się panna Zenona.

— Toby znaczyło, rzekłam z uśmiechem, że po pewnym upływie czasu, to co dziś dla mnie miłym stanie się nudnym i niezajmującym?

— Niezawodnie, odparła Zenona, a prędko to nastąpi bo mało pani znajdziesz tu rozmaitości. Chociaż zabawy bywają u nas bardzo częste, to jednak towarzystwo widzujemy zawsze jednostajne.

— A więc, rzekłam rezolutnie po chwili namysłu, gdy nie będę mogła bawić się zacząć pracować.

Obie panny podniosły zdziwione oczy i popatrzyły na mnie ciekawie. Zdało mi się, że w oczach starszej Emilji, wzbudzone memi słowami błysnęło żywe zajęcie.

— Waciu! ozwała się w tej chwili moja matka, może zaprosisz panie do ogrodu i pokażesz im klomby twoim smakiem urządzone.

Powstałyśmy i po chwili byłyśmy już w ogrodzie. Zaledwie przestąpiłyśmy próg salonu i znalazłyśmy się na świeżem powietrzu, w towarzyszkach moich nagle zaszła zmiana. Podniosły spuszczone powieki, rozjaśniły twarze i pierwszy raz swobodnie na mnie spojrzały.

— Jaka pani szczęśliwa zawołała z nich jedna, nie oswoiłaś się jeszcze z tem co nas oddawna przestało już bawić! My tak wiecznie nudzimy się w domu!

— Zdaje mi się, odrzekłam ze zdziwieniem, że panie wcale nie jesteście starsze odemnie?

— Ja mam lat osiemnaście a siostra moja Emilja dziewiętnaście, ale od trzech lat obie uważane jesteśmy za dorosłe panny: Z początku bawiło nas wszystko: suknie, zabawy, grzeczności nam robione, ale teraz tak przywykłyśmy do tego wszystkiego, że nas to wcale nie zajmuje.

— Po całych dniach siedziemy w domu z założonymi rękami, podjęła Emilja i jak zbawienia czekamy gości, a gdy nie przyjadą, umieramy z nudów i same nie wiemy co robić z godzinami, które wleką się długie jak miesiące.

Przykre wrażenie czyniły na mnie te wyznania, czyżby i ze mną miało być z czasem tak samo? pomyślałam.

— Mówiłaś pani przed chwilą, ozwała się Emilja, że gdy się znudzisz, będziesz pracować. I ja myślałam już kilka razy o tem żeby się wzięść do czego, toby może czas prędzej przechodził. Ale kiedyż nie ma do czego wzięść się. Gospodarstwem zajmuje się ochmistrzyni i panna apteckowa, suknie szyją nam krawcy i modniarki, książek w całym domu innych nie ma, prócz romansów francuzkich, których nam otwarcie czytać nie wolno. Do muzyki nie mamy obie najmniejszej zdolności, a jednak gramy po parę godzin na dzień, aby tylko mózż pokazać ludziom, że grać umiemy. I cóż tu robić? Wprawdzie nalewamy z kolei herbatę, wyszywamy na kanwie w krosienkach i haftujemy kołnierzyki, ale to wszystko nie zajmujące i nie posiada nawet wyraźnego celu. Kołnierzyki naprzykład nosimy zawsze kupowane po sklepach gdyż są ładniejsze, a te które same haftujemy walają się po szufladach. I co tu robić? proszę!

— A jakżebyś pani pracowała? zagadnęła mię Zenona.

Zmieształam się bardzo, bo pojęcia moje o pracy były czysto teoretyczne, przelotne tylko i sama nie wiedziałam zrazu jak odpowiedzieć na zapytanie. Po chwili jednak namysłu odpowiedziałam z determinacją.

— Nauczyłabym się szyć suknie i szyłabym je sobie sama, odebrałabym od panny apteckowej kluczyki i wydawałabym ze spiżarni, wyszukałabym ze dwoje ubogich dzieci i uczyłabym je czytać.

Towarzyski moje popatrzyły na mnie ze zdziwie-



niem i zdawały się zastanawiać nad tem co powiedziałam. Ja także zamysliłam się głęboko i wszystkie trzy zwolna i ze spuszczonei głowami postępowaliśmy wzdłuż lipowej alei.

W końcu dręczona tłumem myśli ozwałam się:

— Widzę żeście panie mimo małej różnicy wieku, daleko więcej odemnie świadome życia i obyczajów jakim ludzie ulegają na świecie. Ja zaś z natury mej jestem ciekawą, nie bierzcież mi więc za złe, że was osypuję pytaniami i powiedźcie mi jeszcze co ma uczynić panna, której nudno i ciasno w granicach cudzą wolą zakreślonych, a która dla zwyczaju przestąpić ich nie może?

— Wyjść za mąż, odpowiedziała zupełnie serjo Zenona.

— Jakto! zawołałam, wyjść za mąż dla tego tylko aby przestać się nudzić?

— Ażeby być swobodną, dokończyła młoda panna S.

Zdziwiła mnie ta odpowiedź niewymownie, Emilja wzięła mię za rękę.

— Pani jesteś tak szczerą tak otwartą, odrazu widać to z twojej twarzy. Jestem także pewna, że masz bardzo dobre serce, widać to z twoich oczu. Bądźmy przyjaciółkami, pokochałam cię od pierwszego spojrzenia!

Pocałowała więc mię w twarz serdecznie.

— I ja także poczułam dla pani żywą sympatją rzekła Zenona. Jesteś tak jakoś niepodobna jeszcze do nas!

Ostatnie słowa wymówiła z dziwną intonacją w głosie.

Uścisnęłyśmy się wzajemnie.

— Mówmy sobie po imieniu, rzekła Emilja.

— Dobrze Emilko! zawołałam uradowana.

W uścisku dwóch siostr jakim mię obdarzyły, poczułam dobroć i serdeczne ciepło i tem więcej żałowałam je, że się tak srodze nudziły i że spostrzegłam kilka razy w ich twarzach przeglądający smutek.

Wracałyśmy z przechadzki dobrze już poprzyjażnione, ale gdy tylko przestąpiłyśmy próg salonu w obu siostrach znowu nagła zaszła zmiana. Zesztywniały, ochłodziły i ze spuszczonei powiekami jak wprzód, wyprostowane usiadły na fotelach. Matka moja z niezmierną uprzejmością częstowała panią S. i obie panie bezprzestannie zamieniały między sobą czułości i komplementy. Obok tego uważałam, że matka moja kilka razy zatrzymała wzrok swój na obu pannach S. a potem przeniosła go na mnie i w oczach jej błysnęło zadowolenie.

Pani S. również przenosiła wzrok ze mnie na swoje córki, ale w spojrzeniu jej coraz żywsza malowała się złośliwość, a na czole gromadziły się chmury, które daremnie rozpedzić chciała przymuszoną uprzejmości uśmiechem.

Zastanowiłam się nad tą grą fizjonomji dwóch pań i zrozumiałam ją. Matka moja znajdowała mię ładniejszą od pańien S. i cieszyła się; to samo spostrzeżenie w tłumiony ale widzialny gniew wprawiało ich matkę. Dla czegoż więc te panie rywalizujące z sobą i nielubiące się widocznie, objawiały tyle wzajemnej czułości i ugrzecznienia?

Postanowiłam zapytać oto matkę po wyjeździe gości. Po herbacie matka moja poprosiła pańien S. aby coś zagrały. Emilja usiadła przy fortepjanie i furioso zagrała jakąś wojenną fanfarę. Gra jej była wyraźnie wymęczona, bez czucia i pojęcia sztuki, nie było w niej umiejętności ni talentu. Powstała od fortepjanu z twarzą zaczerwienioną jak burak. Wyglądała jak tylko co zdjęta z łoża tortur.

Pani S. wycedziła prozbę abym z kolei ja zagrała. Miałam już powstać i spełnić jej żądanie, gdy nagle myśl mi przyszła, że nie dobrze będzie jeśli we własnym domu, grą daleko lepszą i umiejętniejszą upo-

korzę niedołączną muzykę, Emilji. Nie wiem zresztą dla czego, ale zdawało mi się, że ona sama obawiała się tego i z pewnym niepokojem przenosiła wzrok ze swjej matki na mnie. Za nic w świecie nie chciałabym wyrządzić jej przykrości i naprędcę wymówiłam się przed panią S. bólem ręki. Emilja spojrzła na moje ręce, które wyglądały zupełnie zdrowo, a potem długo popatrzyła na mnie. Spotkałam się z tem jej spojrzeniem i wydało mi się, że było w niem czułość i wdzięczność. W oczach zaś pani S. błysnął wielki tryumf. Sądzę że owej chwili była pewną, iż albo wcale grać nie umiem, albo gram niedołączniej jeszcze od jej córki. Wkrótce pani S. powstała z kanapy żegnając się z moją matką, i znowu posypał się z obu stron grad komplementów, czułości, upewnień najszczerzej przyjaźni i sympatji, a tem wszystkiem towarzyszyły złośliwe spojrzenia pani S. i dwuznaczny uśmiech mojej matki. Zdawałoby się, że w tych dwóch osobach ścisnących sobie ręce i rozczulających się wzajemnie były cztery osoby. Dwie kochały się nad życie, a dwie niecierpiały się z całego serca. Panny S. w obliczu swjej matki pożegnały się ze mną z wymierzoną i wyważoną etykietalną czułością, ale gdy odwróciła się, Emilja objęła mię ramieniem i serdecznie pocałowała w usta kilka razy. I znowu w jednej osobie pokazały się mi dwie osoby. Jedna była sztywna i wyrachowana salonowa panna, druga dobra, ciepła i serdeczna dziewczyna.

Matka moja patrzyła przez okno dopóki kareta nie zniknęła za bramą, potem rzuciła się na kanapę jakby po wielkiem zmęczeniu i wyrzekła z szerokiem ziewnięciem.

— A cóż za nieznośna, nudna i napuszona osoba ta pani S.

Patrzyłam na nią zdziwiona i zmartwiona razem, lubo sama niewiedziałam jaki był powód przykrości, którą poczuwałam. Matka moja mniej jakoś piękna jak zwykle wydawała mi się w tej chwili. Instynktowy wstręt czułam dla jej dwulicowości, którą w niej spostrzegłam. Usiadłam przy niej i ozwałam się nieśmiało.

— Moja mamó, wytłómacz mi pewną rzecz której nie rozumiem.

— Cóż takiego? zapytała otaczając mię czule ramieniem.

Ośmielona jej pieszczotą mówiłam dalej.

— Powiedz mi dla czego okazywałaś tyle serdecznej czułości dla pani S. i mówiłaś jej tak wiele miłych rzeczy skoro ją nie lubisz, a towarzystwo jej znajdujesz przykrem i uciążliwym?

Matka moja uśmiechnęła się.

— Moje dziecko rzekła, pani S., zajmuje w świecie taką pozycję, że chcąc nie chcąc trzeba być dla niej czułą i uprzedzającą.

Więc czułość twoja, moja mamó, zwracała się do pozycji pani S. nie do jej osoby?

— Naturalnie.

— Więc to pozycja pani S. a nie ona sama siedziała tu na tej kanapie, jadła konfitury i słuchała komplementów jakie jej mówiłaś?

Zaśmiała się moja matka i żartobliwie uderzyła mię po twarzy.

— Naturalnie, moje dziecko, odrzekła, bo i któż chciałby męczyć się nieznośną obecnością pani S., gdyby nie posiadała w świecie takiej jaką posiada pozycji!

— A więc spytałam jeszcze, gdyby pozycja jej była jeszcze dwa razy wyższą, miałabyś mamó obowiązek być dla niej dwa razy grzeczniejszą.

— Takby nakazywał zwyczaj, moja droga.

— Jaki to, moja mamó, nierozsądny i niesprawiedliwy zwyczaj! zawołałam prawie z oburzeniem.

Moja matka długo na mnie patrzyła.

— I cóż cię w nim tak razi? zapytała po chwil.

— Udawanie, kłamstwo, niesprawiedliwość, odrzekłam z wo. Bo skoroć grzeczność nasza i czułość ma w obja ch stosować się do pozycji tych, którym je okazują, to już choćbyśmy niewiem jak żywe mieli uczucia, względem nieposiadających takiej pozycji, musielibyśmy znajdować się z nimi obojętnie. A jeżeli osoba niżej położona w świecie tysiąc razy lepsza jest od tej, która wyżej od niej stoi? A jeśli ta która stoi wyżej jest nam nie sympatyczną, więc mimo to mamy dla pierwszej chłód dla drugiej czułość objawiać, kłamać i nie oddawać ludziom słuszności na pozór, gdy ją przecie w sercach naszych uznajemy? Nie, moja matko, ja chyba do tego zwyczaju nigdy zastosować się nie potrafię!

Gdy to mówiłam matka moja uważnie mi w twarz patrzyła. Dwie fałdy na jej czole stały się znowu głębsze i znowu smutek zagrał w oczach.

— Szkoda mi ciebie! wyrzekła z cicha, tyś dla lepszego świata stworzona! Gdy użyjesz dłużej powieści te słizne kwiatki, których teraz masz pełne serce. Posłuchaj! każda prawie z nas wchodzi w świat z takim wonnym bukietem naiwnych uczuć i idealnych wyobrażeń. Ale potem listek po listku opada z bukietu i więdnie, aż zostaje nam w końcu pęk nagich łodyg, któremi po utracie kwiatów pocieszać się musimy. Twoje naiwne i instynktowe pojęcie o prawości w stosunkach z ludźmi, to jeden z kwiatów składających twój świeży jeszcze bukiet, moja czułość dla pozycji pani S. to łodyga, która mi po takim samym kwiecie została.

— I cóż to było co zdmuchnęło listki z twego kwiatka, mamó, a pozostawiło ci w ręku nagą łodygę? spytałam tuląc się do niej.

— Życie i jego konieczności... świat i jego zwyczaj... odpowiedziała zwolna i pocałowałwszy mię w czoło odeszła.

Życie! świat! ależ ja myślałam że one właśnie dadzą mi najpiękniejsze kwiaty, a nie odbiorą mi tych które już posiadałam! — Życie! świat!... oneż to nauczyły moją matkę uśmiechać się z czułością do tych których nie lubi? Oneż to wyrwały te dwie zmarszczki na jej pięknem czole, a w oczy jej wrzuciły smętne iskry, które w nich migotały niekiedy? Jakaż więc tajemnicza a smutna potęga leży w tych dwóch wyrazach, które oczom młodej niedoświadczonej dziewczyny przedstawiają symbole i obietnice nieopisanych piękności, niewyczerpanych radości? Życie i świat! te zaczarowane zamczyska, piętzące się w wyobraźni młodej cudów nieznanymi, pełne te krainy o tajemniczych niedoścignionych okiem przestrzeniach, w których młode serce śni raj pierwotny ludzkości, byliby podobne do tych sfinksów starożytnych o których mi mówiono: że zdaleka wędrowce biorą je za bóstwa, a gdy się zbliżą widzą... potwory?

Z głową niespokojnych pytań pełną, odeszłam do mego pokoju. Tam zanim usnęłam, białe światło lampy rysowało przedemną po ścianach drżące kielichy lilji śnieżnych, które chwiały się pod technieniem czegoś niewidzialnego i listek po listku traciły stopniowo ze swojej wspaniałej srebrzystej korony. W pół sennem marzeniu widziałam posadzkę zasianą kwiatami, które w moich oczach więdy i umierały, a mnie żal zdejmował za nimi wielki... podnosiłam w górę oczy i zdawało mi się, że widzę nad sobą niebo wieczorne, a rozsiane po niem gwiazdy złote bladły, nikły, umierały tak jak owe kwiaty rozsiane po ziemi...

Smutno mi było.

IX.

Kiedym się zbudziła, zobaczyłam stojącą przy mnie moją matkę z listem w ręku.



— Wstawaj śpioszku, rzekła całując mię w czoło, dzwoń na twoją garderobianę i ubierz się żwawo. Otrzymałam od moich ciotek list bardzo naglący abyśmy dziś jeszcze przyjechały do Rodowa. Po wczesnem więc śniadaniu wyjedziemy.

Zerwałam się na równe nogi, ani mi już w myśli pozostały wczorajsze rozmyślania i sen, który był ich następstwem.

Miałymy jechać do Rodowa, a więc tam, gdzie był kuzynek Franus! Zobacze go więc po trzech tygodniach niewidzenia! Serce uderzało mi radośnie. Matka moja powiedziawszy mi jeszcze, abym wzięła z sobą stosowny zapas ubiorów, bo zabawimy w Rodowie tydzień lub dłużej wyszła, a ja copędzjej uchyliłam sztory. Strumienie światła wpłynęły do pokoju przez okna wychodzące na ogród.

Dzień był prześliczny, młode listki operlone rosą złożyły się od słońca, roje ptaków świergotały w bżowych i jaśminowych zaroślach. Podniosłam w górę oczy i zobaczyłam błękitne sklepienie bez żadnej chmurki a na niem słońce poranne z którego wychodziły snopy światłości olśniewającej. Od tego słońca, od tego nieba, od tego świegotu ptaków, od tej zieleni brylantami rosy błyszczącej, wpłynęła w pierś moją pogoda niezmacona, szczęście jakies, radość, poryw do życia ogarnęły mię całą, krew szybko krążyła w moich żyłach bijąc w twarz rumieńcami.

Otworzyłam okno i pełną piersią chłonąc w siebie wonne powietrze, zawołałam składając ręce. O jakże pięknym jest świat, jak radośnem jest życie!

Na klombach kwitły jeszcze białe narcyzy; przypomniały mi one żywo Franusia. Za godzin kilka zobacze go, pomyślałam i poskoczyłam do taśmy od dzwonka: kiedy służąca weszła siedziałam już przed oaleją orzucona penioarem, z rozpuszczonemi włosami.

— Zosiu! rzekłam do niej, uczesz mię dziś jak umiesz najpiękniej i tak, jak mi najwięcej do twarzy.

— Uczesz panienkę w angielskie loki, odrzekła; a po godzinie kasztanowate włosy moje kręcącemi strumieniami opływały mi ramiona. Zosia przepięła je lekko w górze złotą przepaską i przyniosła mi długą powłóczystą suknię z białego kaszmiru.

Gdy w tym stroju stanęłam przed moją matką, popatrzyła na mnie z widocznem zadowoleniem i rzekła żartobliwie:

— Ani chybi, że zawrócisz głowę temu biednemu Franusiu. Proszę cię, postępuj z nim uważnie bo to dobry chłopiec, i żałowałabym go gdyby naprawdę tobą się zajął. Mógłby przez to uciepieć a i ciebie ludzie by ogadali.

Po wczesnem śniadaniu zajęchała leciuchna czterokonna karetka i bryczka mająca zabrać pannę służącą z pakunkami. Byłam tak uradowana podróżą i tak zajęta wyborem kapelusza, rękawiczek, okrycia i parasolki, że zapomniałam pożegnać się z moją Binią. Na ganku dopiero przypomniałam sobie o tem, ale nie było już czasu do poprawienia mego błędu, bo matka moja siedziała już w karecie. Wskoczyłam do powozu i spuściwszy szybę spojrzalam na okno pokoju mojej piastunki. Oczy moje spotkały się z jej wzrokiem. Patrzyła na mnie przez okno łagodnie ale i smutnie. Posłałam jej ręką pocałunek, odpowiedziała mi takim samym gestem, a mnie większy jeszcze żal i wstyd przejął. Powóz ruszył z miejsca a ja pomyślałam, czyliżby moje przywiązanie do Bini było także jednym z tych kwiatów, z których świat i życie mają listki odmuchać zostawiając mi po nim nagą łodygę.

Drobny ten na pozór wypadek zmacił moją poranną radość, nie mogłam pozbyć się wyrzutu sumienia i zapomnieć smutnego wyrazu twarzy z jakim Bini patrzyła na mnie odjeżdżającą od niej bez pożegnania.

X.

Kareta szybko się toczyła, za oknami przesuwała się bardzo malownicza, urozmaicona okolica mnóstwem jakby w ramy ujętych obrazów. Patrzyłam całą mocą wzroku i zachwycalam się, matka moja siedziała w głębi karety nieruchoma i zamyślona.

— Jakaż cudowna okolica! zawołałam w końcu uniesiona zachwytem, jak te piękne obrazki szybko zmieniają się i niby w panoramie następują jeden po drugim! Tylko co było wzgórze a tu już równina z ciemniejącym w oddali lasem, po niej następuje cmentarz tak rzewnie ocieniony zwisłemi gałęzmi brzoź płaczących, a tam znowu szarzej kościółek wiejski albo na wzgórzu rozłożona wioska roi się pracującym ludem i kłęby ozłoczonego słońcem dymu posyła pod błękitne sklepienie!

Matka moja uśmiechała się poważnym uśmiechem i po chwili odrzekła:

— Tak samo dzieje się i w życiu ludzkim. Człowiek idzie przez świat i coraz w innych znajduje się miejscach i coraz nowe napotyka obrazy, a pragnie aby one były ciągle coraz piękniejsze i świetniejsze. Jak nas w tej chwili dzielna czwórka koni tak człowieka los jego unosi dalej a dalej, a on nigdzie zatrzymać się nie chce, bo śni mu się o najcudowniejszem miejscu do którego pędzi jego wyobraźnia. Aż najeżęściej staje się tak że zamiast do tego wysnionego najcudowniejszego miejsca, człowiek przybywa na pustą piaszczystą wydmy, na której zatrzymuje się wóz jego przeznaczeń i kończy się droga tak pięknych a rozmaitych pełna obrazów.

Gdy matka moja to mówiła uważalam, że fałdy rysujące jej czoło zagłębiły się nieco. Wyraźnie smutna jakaś myśl podyktowała jej te słowa. Myślałam przez chwilę, potem rzekłam:

— Moja mamol! zdaje mi się, że każdy z takich przez świat wędrowców najlepiejby uczynił gdyby raz stanowczo wybrał sobie jedno z pięknych miejsc które przebywa i na niem zatrzymał wóz swoich przeznaczeń. Posiadałby zamiast wydmy, albo wzgórze opromienione słońcem, albo dolinę ocienioną drzewami i ochłodzoną wodami strumienia. Matka moja uważnie na mnie spojrzala. Zdawało mi się, że podejrzewała moje słowa o myśl ukrytą.

— Na wzgórzu może być za gorąco, w dolinie za chłodno, odrzekła zwolna, człowiek nie chce się pogodzić z małemi dolegliwościami które tam napotyka, idzie dalej aby znaleźć sobie miejsce do rajy podobne, a wtedy zamiast rajy znajduje najeżęściej pustynię piaszczystą na której i skwar słoneczny dopieka i wichry ostre wieją. Pragnąłby może wrócić ale już bywa.... zapóźno!

Patrzyłam z uwagą na twarz mojej matki gdy to mówiła. Fałdy na jej czole stały się jeszcze głębsze, a w oczach zagrał smutek. Spuściła powieki i znowu stała się milcząca i nieruchoma.

Thum myśli mię opanował.

Spojrzalam na moją matkę; była bardzo piękna w swoim płaszczu z czarnego aksamitu i z ciemnym piórem, które ocieniało jej czoło. Nie, nie jest jeszcze zapóźno! zawołałam w duchu i jak błyskawica przemknęła mi się przez głowę myśl; dla czegóżby rodzice moi pogodzić się z sobą nie mieli i połączyć się z sobą na nowo?

Na myśl tę serce poskoczyło mi w piersi radośnie.

W tej chwili matka moja zwróciła się do mnie i rzekła:

— Niestosowną do podróży zrobiłaś koafiurę Waciu, wiatr ci włosy rozwiewa i przyjedziesz do domu ciotek rozczochrana.

Spadłam z obłoków. Smutek całkiem zniknął z jej oczów, fałdy wygładziły się na czole, uśmiecha-

ła się do mnie pogodnie i niedbale poprawiała mi rozwiane wiatrem angielskie loki.

— Nie, pomyślałam, matka moja nie do siebie stosowała wyrzeczone przed chwilą słowa. Nie ma w niej żalu za miejscem które u boku ojca mego opuściła dobro wolnie!

Westchnęłam i zasunęłam się w głąb karety. Migocące za oknami powozu krajobrazy przestały mię zajmować, myślą pobiegłam w kraje dalekie kędy samotny, szeroką odemnie przegrodzony przestrzenią, po szczytach gór Alpejskich i po falujących szybach oceanu, wędrując, uczył się mój ojciec rozumieć Boga.

XI.

— Wjechaliśmy na dość wysoką górę a z niej roztoczył się przed nami widok prześliczny. Wsunęłam głowę przez okno i patrzyłam.

W środku doliny którą zewsząd otaczały wzgórza różnych kształtów i wielkości, stał dwór starożytny, obszerny, widocznie bogaty, bo kosztownymi otoczony sztachetami z rozległym parkiem, którego zieloność stała za muiowanym domem jak nieruchoma wysoka ściana. Z za parku na najwyższym ze wszystkich wzgórz, widniał dość duży muiowany kościół, z innej strony wązka bystra rzeka wypływała z jakiejś niby pomiędzy dwoma górami rozpadliny, i wśród ciemnych jodeł rozrzuconych po jej brzegach, wielkim pędem w kilku zwrotach okręcała się po dolinie.

— Cudowne miejsce! zawołałam.  
— To Rodów, odpowiedziała mi matka.

Więc babki moje cioteczne w tak pięknem miejscu: jakże dziwnie wydawać się muszą ich szeleszczące ogony u sukien, przy szmerze tej rzeki, i czepece o krochmalnych koronkach przy tych szczytach wzgórz zielonych! Uśmiechnęłam się do tej mojej myśli. Na sercu znowu mi było pogodnie i radośnie. Pomyślałam sobie, że już tak blisko znajduję się kuzynka Franusia! Kareta zjeżdżała z góry prędko, coraz prędziej a serce moje uderzało mocno, coraz mocniej. Tuż tuż staniemy przed gankiem. Jak też to Franus wybiegnie na nasze powitanie, portjerę otworzy, rękę mi poda z radością w błękitnych oczach! Jakie też będzie pierwsze słowo, którym do mnie przemówi i co mu odpowiem? A babki? babki? toć nie widziały mię od lat dziewięciu? Jak znajdą mię teraz, jak się im podobam?

Stanęliśmy przed gankiem. Zamiast Franusia w drzwiach domu ukazał się wysoki i brodaty lokaj w czarnej liberji ze srebrnemi galonami, i uroczyście zstąpiwszy ze wschodów otworzył portjerę karety.

Kuzynka nie było.  
Wbiegłam za matką moją na ganek i zapuściłam wzrok niecierpliwym w głąb obszernego i ozdobnego przedpokoju.

I tam kuzynka nie było.  
Weszliśmy do sali jadalnej z ciemnymi ścianami, długiej jakby przepaścistej; obiegłam wzrokiem wszystkie jej kąty.

I tu kuzynka nie było.

Miałam takie poczucie jakby mi tafle lodu przyłożono do serca. Znalazłam się w wielkim salonie bardzo długim niż szerokim, który przez tę nieprawidłowość form wyglądał na kształt olbrzymiej szufłady. Salon ten przerywał dom w całej jego szerokości miał więc okna przeciwległe do siebie położone i tak ocienione drzewami że wśród dnia był pograżony w pół zmroku. Ciężkie franki z pasowego aksamitu oszyte ciężką złotą frendzlą, opadały na szyby bardziej jeszcze tamując drogę dziennemu światłu. Szczególne umebłowanie salonu odrazu



uderzyło moje oczy. Pod każdą z dwóch ścian podłużnych stało po dwie jednostajne kanapy, pod temi czterema kanapami były rozestlane cztery zupełnie jednostajne dywany, a na dywanach w zupełnie jednostajnym ustawione porządku stało po sześć fotelów. Pomiędzy temi fotelami stały cztery jednostajne stoliki, dźwigające cztery jednostajne lampy. Resztę przestrzeni znajdujące się pod ścianami, zajmowały krzesła rzędem ustawione. Ściany miały staroświeckie obicie błękitne w złote gwiazdy, od sufitu spuszczał się ciężki żyrandol.

Tehu mi zabrakło w piersi gdy weszłam do tego półciemnego salonu. Byłam pewna, że ktoś mi włożył w szufladę i zasunął do komody. Obiegłam jednak salon szybkim wejrzeniem. Kuzynka w nim nie było.

W przyległym pokoju dał się słyszeć szelest dwóch ciężkich sukien jedwabnych, rozchyliła się portjera i babki moje stanęły w progu.

Jakkolwiek duszno mi się zrobiło przestępując próg salonu moich babek, nie mogłam oprzeć się artystycznemu wrażeniu obrazka który się mi przedstawił. W ramach utworzonych z pasowej o złotych frendlach firanki, stały dwie stare kobiety jednostajnego wzrostu, wysokie szczupłe, wyprostowane, w długich sukniach z ciężkiej czarnej materji i takich samych mantylkach, zdobnych w szerokie czarne koronki. Na tych poważnych sztywnych nieco postaciach, były dwie głowy z blademi ściągłemi twarzami, o delikatnych rysach, z czołami pooranemi mnóstwem zmarszczek, z blademi dumnymi ustami, z zupełnie prawie białemi włosami, które w regularnych lokach opadały na skronie z pod czepców z prawdziwych białych koronek. Takie same białe koronki w kształcie szerokich kołnierzków otaczały ich szyje i spadały na ręce białe, delikatne, o długich cienkich palcach. Stały w progu obiedwie i parę sekund patrzyły na nas nieruszając się z miejsca. Matka moja wzięła mnie za rękę i żywo postąpiła naprzód. Z wdziękiem właściwym sobie pocałowała w ramię obie swe ciotki, a potem wskazując na mnie poleciła mi ich sercu i łasce.

Utkwiły we mnie piwne i mimo wieku piękne jeszcze oczy i podały mi do pocałowania białe swe ręce.

Po tej dopełnionej ceremonji babki moje usiadły na jednej z czterech jednostajnych kanap, matce mojej i mnie wskazując gestem miejsca na fotelach. Tak uderzyły mnie postacie moich babek, że przypatrując się im nie słyszałam rozmowy jaką prowadziła z niemi moja matka. Wiedziałam o tem, że jedna z nich była od lat wielu wdową a druga nigdy zamężną nie była; że jednej z nich było na imię Hortensja, drugiej Ludgarda. Ale na pierwszy rzut oka były tak do siebie podobne, a przytem tak jednostajnie ubrane że zakłopotala mnie myśl, jak je na przyszłość rozróżnić będę.

Na szczęście spostrzegłam, że u jednej z nich wysuwały się z każdej strony czepca po trzy siwe loki, u drugiej po cztery. Chodziło więc tylko o to jak było na imię jednej a jak drugiej. Ale pomyślałam, coż będzie jeśli którego dnia którakolwiek z moich babek odmieni liczbę swych loków? Nie rozróżniłabym już ich wtedy z pewnością. Zaczęłam się tedy bacznie przypatrywać, czy inną jakiej nie odkryję między niemi różnicy. I odkryłam a nawet wielką i uderzającą.

Twarze moich babek podobne do siebie rysami, różniły się niezmiernie wyrazem. Jedna z nich była dumna, zimna, z wązkiemi, pogardliwemi ustami i surowym przenikliwym a twardym wzrokiem; drugą przeciwnie cechowała łagodność w połączeniu, z przysrośniętym jakby do twarzy smutkiem, a pomimo sztywności postaci i podniesionego czoła, rozlewał się po niej wyraz nieokreślonego jakiegoś moralnego przygnębienia. Pierwsza prowadziła rozmowę i wy-

dawała się prawdziwą panią a władczynią wszystkiego co ją otaczało, druga odzywała się rzadko, i patrzyła przed siebie mało ruchomemi i myślącemi ale dobreimi i miękkimi oczami. Uczulam się pociągniętą do drugiej.

Zwróciłam uwagę na rozmowę matki mojej z babkami w nadziei, że coś o Franusiu mówić będą. Rozmawiały o pogodzie, drodze, wczorajszej wizycie u nas pani S. a o nim nie było ani wzmianki. Siedziałam jak na mękach. Błękitne oczy kuzynka błękały się wciąż przedemną, po ścianach między złotemi gwiazdami obicia, i taki mi żal ogarnął, że w ciszy mego serca, w samej najdalszej głębi mojej myśli szepnęłam sobie: doprawdy! chyba ja jego kocham!

W tej samej chwili jedna z moich babek ta, która mówiła mało a miała łagodne oczy i usta, wyciągnęła rękę i poruszyła srebrny dzwonek stojący na stole. W drzwiach od jadalnej sali stanął lokaj.

— Poprosić pana Franciszka! rzekła moja babka,

Na te słowa poczułam silne ukłucie w sercu, a zarazem chęć do rzucenia się babce na szyję, ale zaledwie spojrzałam na jej sztywną, surową suknię i biały czepiec, popęd ten ustał, a tylko czułam że rumienię się po uszy. Szczęściem nikt na mnie nie patrzył, ja zaś patrzyłam na drzwi od jadalnej sali któremi byłam pewna że nadejdzie Franuś. Po kilku minutach usłyszałam w istocie spieszny chód jego i upragniony mój kuzynek wszedł do salonu.

Wydało mi się, że razem z jego wejściem światłój i ciepłej zrobiło się w ogromnej szufladzie. Lód spadł mi z serca i pierwszy raz od wejścia mego tutaj odechnęłam swobodnemi piersiami.

Zaledwie jednak rzuciłam okiem na kuzynka, który aby dojść do nas musiał przebyć szufladę w całej jej długości, zdziwiłam się bardzo. Postępował krokiem nie tak swobodnym jak zwykle, przeciwnie cała jego postać nacechowana była przymusem i zmieszaniem. Na twarzy jego zamiast zwykłej otwartości i pogody, zobaczyłam ten sam przymus i zmieszanie. Od samych drzwi patrzył tylko na moje babki, a najmnie widziałam, że rzucił tylko w progu przelotne wejrzenie. Wprawdzie widziałam, że przy wejrzeniu tem oczy jego błysnęły tak, że przy nich pogasły złote gwiazdy obicia, ale za to potem straciły nagle swą świetną barwę i stały się nie pewne jakieś, niby zalęknione. Czemu on na mnie nie patrzy? myślałam sobie gdy Franuś zbliżał się do kanapy. Nato żem tak ślicznie się uczesała i wyglądała go tak niecierpliwie? Kuzynek pocałował z kolei w rękę obie ciotki swe i moją matkę, a mnie skłonił się tylko ze spuszczonei oczami.

Ubodło to mnie znowu, u nas zawsze mi rękę do ucisku podawał, i to kilka razy na dzień, jak się ku temu najmniejsza wydarzyła sposobność. Czy obrażony na mnie ale za co? Czy nie chce już być ze mną w przyjaźni? pomyślałam znowu. Tymczasem kuzynek stanął za jednym z fotelów, obie ręce oparł o poręcz i miał minę człowieka, który nie śmie usiąść.

— Usiądź Franusiu! rzekła moja babka z łagodniejszymi oczami.

Usiadł ale na samym brzeżku fotelu, z ciągle jednostajnie nieśmiałą miną. Coraz więcej byłam zdziwiona. Gdzież podziął się pewny siebie i pełen zręcznych ruchów układ mego kuzyna. Spojrzałam na moją matkę i zobaczyłam, że patrzyła na Franusia pełnem dobroci spojrzeniem, w którym malowało się pewne współczucie.

— Jakżeś przebył podróż od nas do Rodowa? spytała jakby chcąc go wciągnąć w rozmowę.

— O, dziękuję cioci, bez żadnego złego wypadku, odparł Franuś i umilkł znowu, a oczy trzymał stale utkwione w dzwonek stojący na stole.

Gdzież się podziła jego rozmowność i dowcip w odpowiedziach? przemknęła mi się myśl znowu

popatrzyłam na kuzyna, którego postawa przypominała mi bojaźliwe pensjonarki przy egzaminach i wydawał mi się prawie brzydkim. Przytem zdjęła mi jakaś litość nad nim. W istocie miał minę prawdziwie wzywającą miłosierdzia.

Babki nie zwracały wcale uwagi na Franusia i zaczęły znowu rozmawiać z moją ukochaną matką. Po chwili spostrzegłam, że oczy jego oderwały się od dzwonka, przeszły na lampę, z lampy na ścianę, ze ściany na wysoką poręcz fotelu na którym ja siedziałam, i po odbyciu tej podróży na około świata, zatrzymały się w miejscu do którego dążyły t. j. na moją twarz. Jednocześnie stały się znowu bardzo błękitne, jakimi widywałam je zawsze.

Pochwyciłam tę chwilę i odezwałam się:

— Jakże pięknie położony jest Rodów! i mówiłam dalej o moim zachwycie nad piękną doliną, którą przy wjeździe oglądałam ze wzgórza. Im więcej mówiłam, tem więcej pogodniały oczy Franusia, zniknęło uprzednie jego zmieszanie, nie spuszczał ze mnie oczu i uśmiech zaczął igrać na jego ustach.

Gdy skończyłam mówić rzekł:

— O, jak kuzynka umiesz odczuwać piękność natury! Jak żywemi skreśliłaś słowami krajobrazy otaczające Rodów! Są one w istocie prześliczne. Ja co się tu wychowałem, znam każdy kątek okolicy jak rodzinne miejsce. Lubię o wschodzie dnia wchodzić na wzgórze i patrzeć jak pierwsze promienie słońca przegładają się w błękitnej rzece, albo szeroko spoglądać na ciemny bór sosnowy pomiędzy którym.....

Nagle urwał — bo słyszał głos jednej ze swoich babek zwrócony do niego.

— Franusiu, mówiła, idź do pokoju mego i przynieś mi koszyk z robotą.

Twarz jego z ożywioną i pełną zapału jaką byłą gdy mówił do mnie, stała się znowu nieśmiałą i zmieszaną.

Zerwał się na równe nogi, poskoczył i zniknął za portjerą.

Po kilku sekundach przyniósł srebrny koszyk pełen białej bawełny, postawił go przed ciotką i usiadł znowu na brzeżku fotela.

Babka moja uchyliła nieco koronkowe mankiety, które jej opadały na ręce i prowadząc dalej rozmowę z moją matką, zaczęła wydobywać z koszyczka robotę, która składała się z milionowych drobnych cząsteczek. Były to tak zwane frywolitki, to jest gwiazdeczki, kófeczka, gzygzaczki, pajęczki wyrabiane za pomocą specjalnych mikroskopijnych narzędzi z najcieńszej bawełny, jaka egzystuje na tym świecie. Cienkimi palcami białych swoich rąk rozwijając powoli jeden z kłębków, babka moja poraz pierwszy zwróciła się do mnie:

— A Wacia czy lubi robótki? spytała.

Uderzył mi ton jej mowy oschły i wyniosły! Wprawdzie nie wielką byłam amatorką ręcznych robót i powiedziałałam to, bo nie widziałam powodu dla czego bym nieprawdę mówić miała. Babka moja utkwiała we mnie swoje piwne dumne oczy i rzekła.

— To bardzo źle, panna dobrze wychowana, powinna zajmować się robótkami, wyszywaniem na kanwie, haftem.



## MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

### II.

Któż był odpowiedzialnym za przeobrażenie domu letniego? Nowy dzierzawca. A kto on był? Chodźcie i zobaczcie.

Na wiosnę spójność dwóch sów zniszczonym został. Na jesień tegoż samego roku, miejsca te liczne zapelniało towarzystwo, goszczących w Windygates pań i panów.

W domku letnim barwne suknie motylowe kobiet, jasno odstrzeliwały od ciemnych ubiorów mężczyzn. Pomiędzy filarami trzech wyjść szerokich, widać było rozległy, obszerny trawnik. Po za nim klomby z kwiatów i roślin, a dalej pomiędzy drzewami dom wielki, murowany, i bijący przed nim wodotrysk.

Jedni się śmieli, drudzy rozprawiali i gwar harmonijnie z każdą zwiększał się chwila. Gdy w tem głos dzwiczny nagle zawołał: „Proszę uciszyć się!” Na trawniku wprost uomku, stanęła młoda dziewczyna i spojrzła się, jakoby jenerał komenderujący na posłuszne jemu szeregi.

Była młoda, piękna, powabną i bynajmniej nie pomięszaną. Ubiór jej ostatnią wskazywał modę: kapelusik jak talerzyk leżał jej na czole, pęk włosów płowych spuszczał się z tyłu głowy, nieprzeliczone guziki zdobiły stanik; dwa chrabąszcze emaljowane przerażającego podobieństwa do żywych wisiały u uszów. Sukienka jej wązka i krótka, była barwy nieba. Trzewiki *à la Watteau*, obcasy takiej wysokości, że mężczyźni aż z drżeniem pytali: Czyliż ta powabna istota kolana zgiąć potrafi?”

Tą ładną osóbką była maleńka niegdyś, białoróżowa Bianka Lundie, znana nam z prologu, licząca obecnie lat osiemnaście. Stanowisko jej było wyborne, majątek znaczny, charakter żywy, usposobienie zmienne. Jednym słowem: było to dziecisko naszych czasów z przymiotami i wadami, jakie je głównie odznaczają. Z pewnym zasobem szczerości, prawdy i uczucia.

— Zatem więc, moi państwo! zawołała Bianka — proszę o głos! Wybierajmy sobie miejsca do *croquet'u*<sup>1)</sup>. Bo interes, interes przedewszystkim!

Na to jedna z pań, zajmująca widocznie miejsce wyższe w towarzystwie, napominała młodą dziewczynę łagodnie. Była to osoba wysoka, poważna, lat trzydziestu pięciu. Miała nos orli, brodę wystającą, piękne oczy czarne, a włosy i suknię jasną koloru dzikiego. Ruchy jej pewnej wdzięcznej powolności, pociągały w pierwszej chwili, ale przy bliższym poznaniu stawały się jednostajne i nudne. Była to lady Lundie, druga żona Sir Thomas'a a teraz wdowa, po czteromiesięcznym z nim pożyciu, dzierzająca obecnie Windygates.

— Moje dziecko — zagadała do pasierbicy — słowa mają znaczenie swoje, choćby w ustach młodej

panienki. Dla czegoż *croquet* interesem nazwałaś? — Spodziewam się, że pani *croquet'u* zabawą nie nazwiesz? ozwał się głos mężki z ironją z głębi salonu.

Wszyscy obejrzeni się na wiekowego już mężczyznę, którego układ i elegancja znaczyła pewne wyższe ugrzecznienie, dzisiejszemu pokoleniu wcale nie znane. Miał na sobie granatowy surdut wysoko zapięty, białą chustkę na szyi i spodnie nankinowe dla dzisiejszego pokolenia nawet już śmieszne. Rozmowa jego toczyła się niezależna, łatwa, z pewnym niekiedy odcieniem trafnych, satyrycznych spostrzeżeń nieprzyjemnych dla dzisiejszego pokolenia, bo ich się lęka. Był niski, szczupły, z głową bielutką i błyszczącymi szaremi oczami. Kąciki ust jego krzywiły się niekiedy z wyrazem humoru. Kulał nieco, lecz znosił to kalectwo równie wesoło, jak lata swoje. Wsławił się w towarzystwach piękną laską z koci słońców, w gałce której mieściła się sztucznie wyrobiona tabakierka. Lękano się jego nienawiści dla wielu modnych uchwał, z czem występował o twarcie, i zręcznie w najślabszą umiał trafić stronę. Takim był Sir Patrik Lundie, brat zmarłego Sir Thomas'a — dziedzic jego tytułów i posiadłości.

Miss Bianka, nieważając na wyrazy macochy, ni też na uwagę stryja, przystąpiła do stołu, na którym leżały kule, młotki i kije do gry przysposobione, i przemówiła znowu:

— Staję na czele jednego szeregu, moje panie i panowie, a lady Lundie na czele drugiego. Wybieramy sobie współgraczy, mama ma pierwszeństwo jako starsza. Przyczem rzuciła jej spojrzenie, które zdawało się mówić: „Posłałabym cię chętnie do spiżarni, gdybym tylko mogła.”

Lady Lundie powstała i rzuciła wzrokiem na zebranie w koło, gdyż już swoich wybrała spółników.

— Wybieram miss Silwester — wymówiła z pewnem na to nazwisko przyciskiem.

Na to znana nam ukazała się Anna, w skromnem, białem ubraniu i zwolna przystąpiła do pani domu. W towarzystwie tu zebranem, wszelako mało jeszcze znajomych liczyła. Panowie tylko co przybyli, wprowadzeni zostali przez kilku przyjaciół domu i ukazanie się jej szczególniej ich uwagę zwróciło.

— Jakaż to powabna osoba! poszepnął z nich jeden do przyjaciela domu — Któż to jest?

— Guwernantka miss Lundie, i nie więcej — odszepnął tamten.

Lady Lundie i miss Silwester stanęły przy sobie. Obcy mężczyzna spojrzął się i z cicha szepnął znowu:

— Coś jest niewłaściwego pomiędzy temi dwiema kobietami.

— Jest to widoczne, odrzekł przyjaciel domu.

Są kobiety, które od razu wpływ szczególny na mężczyzn wywrzeć potrafią. Co dla drugich kobiet staje się rzeczą niepojętą. Młoda nauczycielka posiadała tę siłę pociągającą, odziedziczyła powaby nieszczęśliwej matki, lubo nie była tak jak ona piękną. Miała rysy nieregularne, wzrost średni i kibić zgrabną; płeć jej i włosy nie były ni ciemne, ni jasne. Gdy poruszała usta, jawiło się w kąciaku jednym lekkie drganie nerwowe. A w oku, po tejsze samą stronę, jakieś dziwnie niepewne spojrzenie, co zyzem jednak nie było. Mimo to, odgadywano w niej jedną z tych niebezpiecznych kobiet, które mężczyznami rządzą sercami i łatwo domowy spokój zakłócić potrafią. Szła dalej, a tyle było wdzięku w jej ruchu, że pan ów obcy, przerwał z przyjacielem rozmowę, i patrzył się za nią.

Gdy usiadła przy tobie i rozmawiała, gdy kącik ust zadrgnął, i piękne, łagodne siwe oczy niepewne rzuciły wejrzenie, czułeś się mimowoli jakoby przykutym. Gdy w jedną patrzyłeś z nią książkę, muskał lić twoje jej oddech, dotknął przypadkowo jej ręki, poczułeś to w nerwie każdym i silniej uderzyło ci serce. Patrząc się jednak na nią oczami kobiety,

wrażenie byłoby różnem wcale: odwróciłbyś się wtedy do której z przyjaciółek swoich i powiedział z nieklamana litością: „Co też ci mężczyźni w niej widzą!”

Gdy wzrok jej obecnie spotkał się z oczami pani domu, jawiła się w nich nieufność jak najwyraźniej. Nie wszyscy obecni dostrzegli to wszystko tak, jak ów obcy i jego przyjaciel. Miss Silwester ozwała się pierwsza.

— Dziękuję pani, lecz wolałabym do gry nie należeć.

Lady Lundie objawiła zdziwienie, przekraczające nawet granice dobrego wychowania.

— Cóż znowu? zawołała cierpko. Rzecz dziwna, bo przecież właśnie dla tego zebraliśmy się tutaj. Czyliż panią co zraziło?

— Bynajmniej! Jestem dziś trochę cierpiąca. Ale będę grała, skoro pani sobie tego życzysz.

— Życzę sobie — odrzekła lady Lundie.

Miss Silwester stanęła w progu, czekając co będzie dalej — widocznie do żywego poruszona, co zdradzał wyraźnie, drgający z lekka muślin jej stanika.

Przyszła wreszcie kolej na Biankę, by sobie wybrać spółnika. Spojrzała w koło i zatrzymała wzrok na jednym z panów, który stał obok Sir Patrika. I tak jak ten ostatni był przedstawicielem dawniej szkoły, tak on w osobie swojej przedstawiał dzisiejszą.

Był to młody mężczyzna wysoki, silnie zbudowany i świeżego lica. Przedzielone włosy od czoła przez środek głowy, spuszczały się w zręcznych zwojach ku szyi zrumienionej z lekka.

Rysy miał regularne zupełnie, ale bez wszelkiego objawu wyższej umysłowości o ile takimi rysy ludzkie być mogą. Wyraz ich pozostawał dziwnie jednostajnym i nieruchomym. Zbudowany kształtnie, podług prawideł wszelkich: szerokiej piersi, wysmukły w stanie, mocny w nogach, przedstawiał ludzkie zwierzę w całym swoim najdoskonalszym rozwoju. Był to Godfryd Delamayn, tytułowany *honourable*, i zasługujący na to niejednokrotnie. Stał się *honourable* (zaszczyconym, po pierwsze, jako syn młodszego człowieka kariery wielkiej, a dzisiejszego lord'a Halchester; po drugie, że otrzymał najpopularniejsze wywyższenie w dzisiejszym systemie wychowawczym w Anglii, miano pierwszego wioslarza na jednym z wyścigów łodziami, na uniwersytecie. Dodajmy jeszcze, że nikt nie widział by kiedy, prócz dziennika, coś innego przeczytał i-ażebys się kiedy cofnął w obec jakiego bądź zakładu, oto wierny obraz tego młodziana Anglika, z jakimi spotkanie nie jest tak trudnem jakby mniemano.

Bianki zatem oczy zatrzymały się na nim naturalnie bardzo, głos jej ozwał się także naturalnie bardzo:

— Wybieram pana Delamayn.

Gdy to wymówiła imię, lekki rumieniec na licu miss Silwester w śmiertelną przemienił się błądź. Chciała pójść dalej, zadrżała nagle i pochwyliła za poręcz, stojącej obok ławki. Jeden z panów spostrzegł to poruszenie, spojrzął się na jej rękę i zobaczył, że z powodu silnego ujęcia poręczy, rękawiczka jej pękła, i zanotował sobie: że miss Silwester ma djable usposobienie.

W tejsze właśnie chwili p. Delamayn, przez dziwną spójność myśli z miss Silwester, odpowiedział podobnie jak ona przed chwilą:

— Wdzięcznym pani! Ale, czy nie raczyłybyś kogo innego tym zaszczyścić wyborem? Ja nie przydam się pewnie.

Przed laty pięćdziesięciu odpowiedź taka dana kobiecie, byłaby uznana jako niezem niewytłomaczone prostactwo. Dzisiejszy wszelako kodeks społeczny nazywa to szczerością zabawną. Towarzystwo roz-

<sup>1)</sup> Gra powszechnie ulubiona w Anglii.



śmiało się. Bianka jednak nie zdołała zapanować nad sobą, i wyrzekła cierpko:

— Czyliż pana nie zająć nie potrafi, prócz surowych ćwiczeń muskularnych, panie Delamayn? Czy chciałbyś ciągle tylko uganiać się w *regatta'ch* 1) lub też na koniu przeskakować zapory i przepaście? Gdybyś posiadał duszę, ta potrzebowałaby spoczynku. Natomiast masz tylko muskuly. Ale czyż i te wypoczynku nie potrzebują?

Kolce dowcipu miss Lundie przemknęły jednakże po panu Godfrydzie Delamayn, jak woda po plecach cyranki.

— Jak się komu podoba! — odrzekł z niedorzecznie dobrym humorem — ale nie gniewaj się pani. Przybyłem tu z kilku damami, te zabroniły mi palenie cygara, za którym tęsknię. Chciałem się więc teraz wysunąć... pogram wszelako z państwem.

— Pal pan sobie swobodnie! Wybiorę kogo innego, bo pana już nie chcę.

Szanowny młodzieniec wyglądał, jak gdyby mu ciężar spadł z piersi. Swawolna panienska odwróciła się nagle i przebiegła wzrokiem osoby, będące w drugim końcu letniego domku.

— Kogożby wybrać? poszepnęła sama do siebie.

W tem młody człowiek, brunet, twarzy ogorzałej, jak cygan, świadczący wszystkim, że ruchliwemu oddawał się życiu, a podobno nawet i na morzu przebywał, zbliżył się nieśmiało i poszepnął.

— Wybierz mnie, pani!

Oblicze Bianki uroczy rozjaśnił uśmiech: zdawało się że młody brunet nie był jej obojętnym wcale.

— Pan? zapytała z pewnym zalotności odcieniem, wszakżeż za godzinę chcesz odjechać?

— Ale wrócę pojutrze — wymówił z cicha, przystępując bliżej jeszcze.

— Pan w *croquet'a* grać nie umiesz.

— Nauczę się, jeżeli pani objaśni mi racyzsz.

— Owszem, chętnie bardzo — odwróciła się zróżwiona i uśmiechnięta, mówiąc do macohy.

— Mamo, wybrałam pana Arnolda Brinkworth.

Sir Patrik spojrzął się z zajęciem na młodego bruneta, i właśnie miał zagadać do niego, gdy mu *lady* Lundie przeszkodziła, wybierając go na drugiego współgracza, zadziwiając wszystkich swoim wyborem. Sir Patrik bowiem był znamienitą osobistością, ale miała widać własne powody, by sobie względy głowy rodziny pozyskać.

— Mamo, mamo! — zawołała na to Bianka — Sir Patrik nie zechce, bo *croquet'u* nie wynaleziono za jego czasów.

— Za moich czasów — odrzekł stryj bratance — starali się ludzie o to by okazać się przyjemnymi w towarzystwie. Za waszych czasów stało się to niepotrzebnem. Otóż jest wskazał młotek od *croquet'a*, na bliskim leżący stole — jeden z przedmiotów, zapewniających powodzenie w dzisiejszych, modnych zebraniach. A tutaj drugi — dodał, podejmując kulę, Potrzeba żyć i uczyć się, a zatem grać będę.

*Lady* Lundie, obca wszelkiemu zrozumieniu ironii, uśmiechnęła się wdzięcznie, mówiąc.

— Wiedziałam, że sir Patrik grać będzie, by mnie zrobić przyjemność.

— *Lady* Lundie czytasz w duszy mojej, jak w książce — odrzekł z przesadą sir Patrik, kładąc rękę na piersi ku zdumieniu wszystkich obecnych, mających niżej lat czterdziestu wieku. I otóż powtórzę z Dryden'em:

Starzec — nie mogę mieć szczęścia w miłości, ale uznaję przemoc piękności!

Nie obraziło to bynajmniej *lady* Lundie, gdy w tem wysunął się pan Delamayn z wyrazem męża, który się poczuwa do spełnienia powinności publicznej, i wyrzekł:

— Dryden tego nie powiedział nigdy! A ja odpowiadam za niego.

Sir Patrik wykręcił się szybko za pomocą swojej laski słoniowej, spojrzął ostro w oczy panu Delamayn i zapytał:

— Czy pan znasz lepiej odemnie Dryden'a?

Szanowny Godfryd odpowiedział ze skromnością:

— Odbyłem z nim trzy wyścigi łodziami....

— Zatem pozwól sobie powiedzieć, Sir że dopełniłeś tego z człowiekiem, który żył przed latami dwiestu.

Delamayn nieudane okazał zdziwienie, i zwrócił się do zebranych, mówiąc:

— Cóż ten pan prawi? mówię o panu Tomie Dryden z Corpus. Na uniwersytecie zna go każdy.

— A ja mówię o Johnie Dryden — odrzekł Sir Patrik — którego na uniwersytecie podobno nikt nie zna.

Na to odpowiedział Delamayn ze smieszną powagą.

— Daję słowo honoru, że dotąd o nim ani słyszałem! Nie gniewam się jednak dodać z uśmiechem i do był fajeczkę z różanego drzewa. Proszę pana o ogień jeżeli łaska wymówił nader uprzejmie.

— Nie palę, sir, odrzekł stary sucho i chłodno.

— Pan nie palisz? a to dziwię się jak pan czas swój zapewniasz?

— Możesz pan dziwić się ile mu się tylko podoba — odrzekł z ukłonem sir Patrik.

W tym czasie *lady* Lundie i jej pasierbica gre urządziły, i całe towarzystwo udało się na trawnik, — sir Patrik zastąpił *Biance* drogę, prowadzoną przez młodego bruneta.

— Uwolń pana Brinkworth na chwilę — wymówił do niej — mam mu coś do powiedzenia.

— Owszem, dopóki do gry potrzebnym nie będzie.

I pan Brinkworth pozostał się z sir Patrikiem. Korzystając z ogólnego ruchu towarzystwa, Miss Silwester zbliżyła się szybko do Delamayn'a i poszepnęła:

— Za minut dziesięć domek będzie pustym. Przyjdź pan!

Szanowny Godfryd poruszył się i przelotnie na zebranie rzucił spojrzenie.

— Pani sądzisz, że będzie bezpiecznie? zapytał z cicha.

Anny usta drgnęły, z obawy czyli też z gniewu, trudno oznaczyć.

— Chcę, byś przyszedł! odrzekła stanowczo i odbiegła.

Pan Delamayn zmarszczył brwi pięknie zakreślone, spojrzawszy na nią, a potem domek opuścił. Ogród różany po za nim był pustym zupełnie w tej chwili. Zapalił fajeczkę, ukrył się pomiędzy krzewami a niezadługo dymek gorący w gęstych krąkach ulatywał z ust jego, bo był najrzęczniejszym z palaczy. Gdy wszelako z ulubionej lulki tak szybko wyrzucał obłoczki, znaczyło to zawsze że głowa jego niezwykłą zajęta była pracą.

### III.

Dwie zatem osoby pozostały się w domku letnim: Arnold Brinkworth i sir Patrik.

— Panie Brinkworth — zagadał stary szlachcic — nie miałem sposobności pomówienia z panem pierwszym, że zaś jak słyszę, dziś masz odjechać, więc nie mógłbym tego uczynić i później. Pozwól zatem, że się przedstawię: ojciec twój należał do liczby najdroższych moich przyjaciół, niechżeż i syn jego będzie przyjacielem moim. Wymienił potem nazwisko swoje i podał mu rękę.

— Oh, sir Patrik! zawołał Arnold serdecznie, sły-

sząc imię znane sobie dobrze — gdyby mój biedny ojciec był posłuchał.....

— Nie byłby stracił majątku na zakłady wyścigowe. Mielibyśmy go tu pomiędzy nami, i nie umierałby wygnańcem w obcym kraju. Ale, mówmy raczej o czem innym! — *Lady* Lundie pisała mi o tobie, sir, w ostatnim liście: że ciotka twoja umarła, czyniąc cię dziedzicem posiadłości swoich w Szkocji. Jeżeli to jest prawdą, cieszę się i składam moje szczerze życzenia. Ale, dla czegoż pan tu jesteś, a własnego nie pilnujesz majątku? Podobno, że to ztąd tylko mil dwadzieścia-trzy, i że dziś jeszcze pierwszym odjedziesz pociągiem. Ale dla czego już pojutrze chcesz wrócić znowu? Czyliż tu ciebie coś szczególniej pociąga? Jesteś młody i na wszelkie wystawiony pokusy. Czy potrafisz rządzić się rozumem? Nie byłoby to odziedziczeniem po ojeu. Byłeś jeszcze chłopcem, gdy on was dzieci swoje majątku pozbawił. Jakież odebrałeś wychowanie? I coż robiłeś wtedy, gdy ciotka ciebie na próżniactwo całego wskazała życie?

Arnold bez zawahania się na to przyostre odpowiedział pytanie, szczerze, skromnie i z prostotą, czem sobie odrazu serce starego zjednał szlachcica.

— Byłem w szkołach w Eton, gdy mój ojciec stracił majątek. Nie mogłem tam dłużej pozostać... i sam o sobie myśleć musiałem. Więc panie, otwarcie a śmiało: przyjąłem służbę na statku kupieckim, i pływałem po morzu.

— To też i ja, mój młody przyjacielu, powiem ci otwarcie: postąpiłeś sobie jako chłopak uczciwy, i zasłużyłeś na szczęście, które cię spotkało, oto masz moją rękę i szanuję cię, bo nie jesteś podobnym do innych młodych ludzi dzisiejszych. Będę ci po prostu mówił: Arnoldzie, ale ty nie nazywaj mnie Patrikiem, bom na to za stary. No, ale coż tu poczynasz? Jakaż kobieta jest moja bratowa? I coż tu robisz?

Arnold zaśmiał się — i wymówił:

— Szczególne pan czynisz mi pytania, jak gdybyś tutaj był obcym.

Sir Patrik poruszył sprężynkę gałki u swojej laski z kości słoniowej, odchyliło się wieczko złotój tabakerki, i wyjął z niej szczyptę tabaki. Potem pokręcił głową satyrycznie i znać było że przemknęły po niej jakieś myśli, których młodemu powierzyć nie chciał.

— Jak gdybym tutaj był obcym powtórzyl, tak jest, zaprawdę. Jestem z *lady* Lundie w najlepszej zgodzie, ale różnemi chodzimy drogami i widzujemy się nader rzadko. Historia mojego życia jest podobną do twojej — mówił ze szczerotą serdeczną, mimo różnicy wieku i stanowiska, jakie zachodziły pomiędzy nim a Arnoldem. Lecz mógłbym twoim być dziadkiem. Pracowałem jako prawnik szkocki, stary, mrukliwy, gdy brat mój ożenił się znowu. A gdy następnie umarł, odziedziczyłem los w świecie, tak samo jak ty mój Arnoldzie, bo on nie miał syna i zostałem baronetem, niestety! Powtarzam, niestety, bo przeróżne obowiązki odtąd spadły mi na kark. Jestem głową rodziny, opiekunem bratanki mojej. Musiałem tutaj teraz do gry stanąć, i całkiem ze zwykłego trybu życia wypchnięty zostałem. Nie znam nikogo w tej całej gromadzie pięknych pań i panów. A czy ty znasz kogo?

— Mam przyjaciela, z którym dziś rano przybyliśmy pospołu.

— Któż to jest?

— Godfryd Delamayn.

W téjże chwili ukazała się miss Silwester we drzwiach domku. Chmura niechęci przyćmiła jej licę, gdy zobaczyła że nie jest próżnym. Znikła niepostrzeżona i powróciła na trawnik.

Sir Patrik podniósł wzrok na syna swojego przyjaciela, a wejrzenie jego po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy wyrażało pewne uczucie zawodu.

1) *Regatta* gonitwa łodziami.



— Wybór takiego przyjaciela zadziwia mnie — wymówił:

Arnold zrozumiał, że powinien na tę odpowiedzieć uwagę, co też uczynił zaraz, mówiąc:

— Przepraszam Sir, ale w tem nie masz dziwnego. Byliśmy rówienikami w Eton, a potem spotkaliśmy się na morzu: ja byłem na okręcie, a on płynął jachtem. I Godfryd uratował mi życie, panie! — dodał podniesionym głosem, gdy oczy jego podnieconym dla przyjaciela zajaśniały uczuciem. Gdyby nie on byłbym z łódką zatonął. Czyliż to nie dość powodu, byśmy przyjaciółmi byli?

— Zależy to od wartości, jaką do swojego przywiązujesz życia.

— Zależy to od wartości, jaką do swojego przywiązuję życia? Zaprawdę Sir, że wielką!

— A zatem i obowiązek twój jest wielkim w obec pana Delamayn.

— Że i odplacić się może nie potrafię nigdy! odrzekł Arnold z uniesieniem.

— Odplacisz się niezadługo z lichwą. Chyba, że ludzi nie znam.

Właśnie zjawił się u wnijsia do domku pan Delamayn, tak samo, jak miss Silwester przed chwilą. I znikł także niespostrzeżony. Wyraz oblicza szanownego młodziana był różnym wszelako, bo okazał zadowolenie.

— Poznaję pewną gorycz w mowie pańskiej zagadał Arnold. To i czemuż Godfryd pana obraził?

— Jest zuchwale dumnym i tem grzeszy. Nie zdumiewaj się bynajmniej! Mówię to w ogólności, bo przyjaciel twój może za wzór bretońskiego posłużyć młodzieńca. Ja nie potrafię podziwiać w nim wspaniały twór narodowy, dla tego, że jest dużym i silnym, zapija piwo i codziennie przez rok cały, zimną bierze kąpiel. Dziś Anglik, niestety! temi fizycznymi przymiotami, współzawodniczy z dzikimi i ze zwierzętami. A najgorsze ztąd następstwa już poczynają się objawiać. Przywłaszczamy sobie chętnie i okazujemy to, co jest najsurowszego, grubego, zwierzęcego w obyczajach naszych. Przeczytaj książki najwięcej upowszechnione, przypatrz się zabawom publicznym, napotkasz wszędzie uwielbienie dla cnót staro-bretońskich, a pozbawiamy się jakby z zasady, wdzięcznej oglądy obyczajności.

Arnold słuchał Sir Patrika wielce zdumiony — bo stał się niewinną przyczyną, wywołania tego protestu socjalnego, a nie był na odpowiedź przygotowanym.

— Jakżeż gorąco, panie, rzecz tę bierzesz! zawołał.

Sir Patrik powściągnął się nieco, uważając to zdumienie młodego.

— Niemal tak gorąco — odrzekł z uśmiechem spokojnym — jak gdyby chodziło o zakład przy wyścigach, lub innym sponte... O, i jam łatwo zapalał się w młodości! Lecz zmieńmy przedmiot rozmowy. Nie znam zalet pana Delamayn, ale jest to dziś modną paplaniną, uważać tych fizycznie silnych ludzi, jako zdolnych i także moralnie silnych. Czas przekona inaczej. Więc powrócisz tu znowu, wpadłszy na chwilę do swojego dziedzictwa? Wyznaję, że mnie to dziwi trochę, uważając ciebie, jako szlachcica ziemianina. Cóż ciebie tu przyciąga?

Zanim Arnold odpowiedzieć zdołał, zawołała nań Bianka z trawnika. Pokraśniał nagle i obrócił się szybko. Sir Patrik poruszył głową z wyraźnym zadowoleniem, i wyrzekł:

— To więc jest ona siła przyciągająca!

Życie na morzu pozostawiło Arnolda w pewnej nieświadomości, co do towarzyskich obyczajów na lądzie. Bo zamiast w żart to obrócić, zmieszał się widocznie. Poczzerwieniał mocniej jeszcze i odparł podrażniony nieco:

— Nie powiedziałem tego...

Sir Patrik podniósł dwa palce białe i pomarszczone, pogłaskał młodego żeglarza wesoło po licu, i poszepnął:

— Powiedziałem! Bo ja czytam w literach rumieńca.

Złote wieczko tabakerki otworzyło się znowu i zaczął niuszek powtórny.

— Panie Brinkworth! odezwała się stając w domku Bianka: potrzebuję pana. Stryju! kolój nadeszła.

— Zapomniałem o grze, Bóg widzi! Sir Patrik obejrzał się. A gdzież są owe modne podstawy zajęcia społecznego? — spostrzegł leżące na stole obok: młotek i kulę. Otóż i one! — upuścił kulę, potoczyła się, i popychał ją nogą ku trawnikowi, podjąwszy młotek pod pachę, jakby deszczochron.

Któż z ludzi omylił się najpierwszy? pytał sam siebie. Ten, który życie za coś poważnego uznał! Stoje jedną nogą w grobie, a najważniejszym w tej chwili jest dla mnie zajęciem: croquet!

Arnold i Bianka pozostali sami.

Ze wszystkich przywilejów, jakimi przyrodzenie obdarzyło ród niewieści, najwięcej do pozazdrosczenia godnym jest ten, że patrząc się na ukochanego stają się istotami czarującymi. To też, gdy Bianka spojrziała się na Arnolda po odejściu stryja, ani przylepiony na czole kapelusik talerzykowaty, ani wstręt na szpetność fałszywego pęku szynionów, nie zdołały w niej przyćmić troistego uroku młodości: piękności, wdzięku — i uczucia, promieniającego z jej lica.

Arnold patrzył na nią i wspominał — o czem ani pomyślał dotąd, że pierwszym miał odjechać pociągiem, i że ją zostawi w towarzystwie młodych ludzi, rówieśników swoich, uwielbiających także jej wdzięki. Bawił przez dwa tygodnie pod jednym z nią dachem i nabrał przekonania, że Bianka jest jedną z najwięcej uroczych istot. Przypuszczał, że może nie obrazi się śmiertelnie, gdy jej o tem powie. I postanowił to uczynić przy wydarzonej obecnie sposobności.

Ale któż potrafi zgłębić przepaść, która dzieli nieraz zamysły od wykonania? Arnolda postanowienie było tak silnem, jakim tylko najsilniejsze być może. I cóż ztąd wynikło? O ułomności ludzka! Nie, tylko milezenie.

— Pan jakoś dziwnie wyglądasz, panie Brinkworth — zagadnęła Bianka. Cóż sir Patrik panu powiedział? Stryj wymierza kolce dowcipów swoich do wszystkich. Czyliż pana skaleczył?

— Sir Patrik jest okrutnym człowiekiem, odrzekł Arnold. Właśnie zanim pani nadeszłaś wyczytał mi z twarzy najważniejszą tajemnicę moją... Umilkł na chwilę, znów nabrał odwagi, posunął się dalej ku wytkniętej mecie i dodał nie bardzo zręcznie:

— Czy i pani posiadasz dar stryja?

Bianka zrozumiała go od razu. Gdyby była miała dość czasu, byłaby z nim poigrała i doprowadziła go stopniowo tak daleko, jak tego pragnęła. Ale za dwie już minuty pewnie przypadała kolój na Arnolda. „Oświadczy się pomyślała!” a na to potrzeba najmniej minuty jednej!

— Co pan mówisz? zawołała przeto. Czy sądzisz, że dar odgadywania cudzych myśli jest u nas familijnym?

Arnold brnął dalej:

— Pragnąłbym tego, — wymówił.

Bianka wyglądała, jakby uosobione zdziwienie.

— Dla czego? zapytała szybko.

— Ażebyś pani w twarzy mojej tak, jak sir Patrik czytać umiała...

Słówek tylko jeszcze parę, a skończyłyby szczęśliwie. Ale znać namiętność tkliwa znajduje rozkosz w tworzeniu sobie przeszkód, bo nagle owładła go nieśmiałość i umilkł w chwili najważniejszej.

Bianka posłyszała na trawniku uderzenie młotka w kulę i śmiech głośny, którym zebranie powitało zapewne jaką niezręczność sir Patrika. Sekundy biegły. I byłaby chciała Arnolda za obadwa wytargać uszy, że jej lękał się tyle.

— No! wymówiła niecierpliwie, i cóżbym z twarzy pana wyczytać miała?

— Wyczytałabyś z niej, że potrzebuję dodania mi odwagi.

— Czy odemnie?

— Tak... tak, pani!

Młoda dziewczyna spojrziała poza siebie przez ramię. Domek stał na małym wzgórzu i wiodły doń wschody. Grający poniżej na trawniku byli ztąd słyszani ale niewidziani. Ktoś mógłby zbliżyć się niespostrzeżony. Słuchała... Nikt nie nadchodził. Dolaływała wrzawa ogólna, powtórne uderzenie młotkiem w kulę i głośne klaskanie w dłonie. Sir Patrik uprzywilejowaną był osobistością, znać zręczności swojej spróbował raz drugi i zupełny osiągnął skutek. Powodzenie jego nastąpiło kilka sekund zwłoki. Bianka znowu na Arnolda spojrziała.

— Uznajże pan odwagę własną! poszepnęła, ale — dodała zaraz z wrodzonym instynktem niewieści, ku obronie osobistej — ale w granicach zakreślonych!

Arnold zagrzązał ostatecznie — i wprost wymierzył do celu:

— Uznaj pani sama, że jesteś kochaną ponad wszelkie granice!

Wyrzekł więc słowo stanowcze i ujął jej rączkę, ale owa przekora którą tkliwa namiętność wywołuje sama, nastęrczyła się znowu. Bianka chciała mu rękę wyrwać, żądała by ją puścił. Arnold wszelako coraz silniej trzymał rączkę ujętą.

— Kochaj mnie pani choćby troszeczkę tylko! zaklinał — bo ja ciebie kocham szalenie! Bianka przestała usuwać rękę i wyrzekła z uśmiechem:

— Czy pan tego uczyłeś się na statku kupieckim?

— Jeżeli pania obraził — rzekł Arnold, z powagą, to znowu na kupiecki statek powrócę.

— Gniew, panie Arnoldzie, brzydka jest namiętnością, jakich młoda i dobrze wychowana osoba nie posiada nigdy.

W tem z trawnika rozległ się okrzyk: „Panie Brinkworth, prosimy!” — Bianka go popchnęła — lecz stał nieporuszony.

— Jedno słówko pociechy, zanim odejdę! błagał. Jedyne słówko: Tak!

Bianka poruszyła głową, a pokusa igrania z nim dalej stała się wszechwładną.

— Niepodobna! odrzekła. Jeżeli pan żadasz większej jeszcze zachęty to pomów ze stryjem.

— Pomówię z nim przed odjazdem.

„Panie Brinkworth!” wołano raz wtóry. Bianka usiłowała popchnąć go znowu.

— Idź pan, idź, położyła ręce na jego ramionach. Arnold objął ją nagle i do piersi przycisnął.

Bianka oniemiała. Posłyszeli, że ktoś nadchodzi, młodzian przycisnął ją raz jeszcze i pierzchnął. Dziewczyna na krzesło upadła i dłońmi zakryła oczy.

Szelest się zbliżył. Bianka oczy odsłoniła — i zobaczyła Annę przed sobą. Porwała się nagle i w jej objęcia padła.

— Nie wiesz co zaszło! poszepnęła. Ciesz się ze mną, kochana! Oświadczył się... i jest moim na zawsze!